№ 13. Warszawa, dnia 17 (29) Marca 1879 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

HENRYK WATSWORTH LONGFELLOW.

Europa przywykła oddawna odmawiać Amerykanom północnym zdolności literackich: poetom ich zarzucano brak wyobraźni, krytykom brak estetycznego smaku i gburowatość w sądach. Dziś znikają pomału uprzedzenia, bo też i Ameryka wydała szereg autorów, którzy dowiedli że twórcza jéj siła objawia się, nie w samym tylko obrębie praktycznych zastosowań. Na czele stoi tu Franklin, prawodawca w dziedzinie nauk ścisłych, a zarazem głęboki moralista. W powieści zabłysnął Fenimore Couper godny współzawodnik Walterskotta. Washington Irwing zajął dwa światy żywotnym opisem swych wędrówek. Z późniejszych Emerson zaświecił na polu filozoficznych badań, Prescott na polu historyi, Tickuor w krytyce literackiéj, Nataniel Hawthorne i Edgar Poe, rzucili w świat mnóstwo obrazów, pełnych dramatu, zaprawnych miejscową barwą i wonią. W gronie poetów pierwsze miejsce zajął Longfellow, równie popularny w Anglii jak i w rodzinnéj Ameryce.

Henryk Watsworth Longfellow urodził się w roku 1807, w Portland, stołecznym mieście Maiau, gdzie ojciec jego był prawnikiem. Po świetném ukończeniu nauk, w kolegium Baudoin w Nowym Brunświku, wezwany przez tenże zakład na profesora literatury zagranicznéj, ośmnastoletni młodzieniec, czując jak wiele mu jeszcze nie dostaje, pragnął przygotować się godnie do nowych obowiązków, zbadaniem na miejscu literatur europejskich. W tym celu, przepłynął po raz pierwszy Atlantyk. Przez rok cały słuchał w Paryżu wykładu pierwszych mistrzów, zwiedził następnie południową Francyą, Anglią, Niemcy, Włochy, Hiszpanią, Szwajcaryą, Belgią i Holandyą. W każdem mieście uniwersyteckiem, zatrzymywał się czas jakiś, badał języki zwiedzonych krajów, przeglądał pilnie biblioteki. Na tych pracowitych studyach zbiegły mu cztery lata. Wzbogacony nauką, powrócił do ojczyzny; zajął katedrę w roku 1829.

Wykład młodego profesora zwrócił uwagę powszechną. Longfellow pełen ducha wysoko poetycznego, wykarmiony jak pszczoła miodem tradycyi, ubranym z kwietników europejskich, podawał miłością ten miód uczniom swoim. Podróżnicy którzy głęboko wpatrzyli się w amerykańskie społeczeństwo, dostrzegli tam dwa przeciwne sobie prądy. Obok przedsiębierczych kolonistów, obok bankierów i przemysłowców goniących gorączkowo za dolarem, obok inżynierów, spełniających tytaniczne dzieła, są tam i dusze stęsknione do nieznanego ideału. Widok dziewiczych stepów nowego świata, nieogarnionych ludzkim wzrokiem, nie może im wystarczyć; chętnie spoglądają w przeszłość praojców swoich, i spoczywają myślą na starożytnych pomnikach ich walk, ich klęsk i tryumfów. Ci marzą o Europie jakby o zatraconym raju; chwytają pilnie złote nici jéj legend i poetycznych podań. Obraz Luwru i Westminsteru, bazylik rzymskich i niemieckich burgów, głęboko porusza ich serca. Longfellow stał się głównym przewódcą tego idealistycznego kierunku: imię jego znalazło wkrótce rozgłos, a pojawiające się raz poraz utwory poety, jednały mu coraz to nowych zwolenników.

W roku 1835 ofiarowano mu katedrę w Cambridge, stolicy Massachusetu. Tamtejszy uniwersytet, zwany Hawart od założyciela swego, uchodzi za najpierwszy w Ameryce. Longfellow miał zająć w nim miejsce Tickuora, znakomitego autora literatury hiszpańskiéj, tłomaczonéj na różne europejskie języki. Sława poprzednika, zatrwożyła młodego poetę. Przyjął katedrę z warunkiem , aby mu pozwolono spędzić wprzód cały rok w Europie, dopełnić tam literackich badań, i skąpać się w żywych zdrojach odrodzonéj świeżo poezyi. Było to właśnie w czasach największych tryumfów szkoły romantycznéj. Długo poeta zatrzymał się w Szwecyi; tłomaczył tam sagi Tegnera. W Niemczech przekładał poezye Uhlanda i Goethego. We Francyi badał ze szczególnem zajęciem utwory dwóch lirników ludowych: Perukarza Jusmina zagrzebanego w cieniu Pireneów, i Rebouta piekarza z miasta Nismes; tłomaczył ich pełne wdzięku obrazki. Liczne przekłady Longfellowa, dokonane z prawdziwem natchnieniem, wcale nie ustępują oryginałom. Na każdym z nich poeta umiał wycisnąć własne piętno, jak nasz niezrównany Mickiewicz na przekładach z Bayrona Goethego i Petrarki.

Z bogatym zasobem młody profesor wrócił do Ameryki, objął w Cambridge katedrę i przez ośmnaście lat wykładał z niéj europejską poezyą. Świetny ten wykład rozsławił imię Longfellowa na całéj przestrzeni Stanów Zjednoczonych, a oryginalne poemata: *pieśni Hiawatty*, *Ewangelina*, *Złota Legenda*, przekładane na wszystkie niemal języki, spopularyzowały imię jego w Europie. Nie rozbieramy tych utworów, znane bowiem polskim czytelnikom, w pięknym przekładzie p. Jezierskiego, zamieszczonym w Bibliotece Warszawskiéj przed laty około dwudziestu. Ulotne poezye a między niemi niezrównany *Exelsior*, zwróciły uwagę powszechną w ślicznem tłomaczeniu pani Maryi Ilnickiéj.

Opuścił Longfellow katedrę w r. 1854, lecz nie opuścił miasta Cambridge. Dom jego na wzgórzu, ocieniony starymi wiązami, kwiecistym otoczony ogrodem, jest celem wędrówek prawdziwych miłośników poezyi. Odwiedzają go zarówno Amerykanie, jak i Europejczycy podróżnicy. Do ścian tego domu przyrosły drogie narodowi wspomnienia: tu bowiem stał kwaterą wielki Washington, ściśnięty wojskiem nieprzyjacielskiem, w czasie pamiętnéj wojny o niepodległość. Longfellow w jednym z poematów swoich, zapisał to wspomnienie.

Był dzień, gdy święte domu tego belki,
Cieniły głowę naszem sercom drogą,
Ojciec ojczyzny, mąż w narodzie wielki,
Przed laty progi te przekroczył nogą.
Pasem płomieni buchają ogniska
Wkrąg rozpostarte na błoniu szerokiem,
Twardą obręczą Anglik miasto ściska:
Wódz niespokojny ch odzi wielkim krokiem,
Brzemię zgryzoty jego czoło chyli,
Cóż on przebolał? Oh! kto to wypowie!
W onéj izdebce, gdzie piszę w téj chwili,
Złamany trudem upadł na wezgłowie!

W tym domu Longfellow otoczony rodziną prowadzi żywot patryarchalny. Postawa jego poważna, pełna godności. Włos długi, biały, otacza kształtne czoło, i w bujnych pierścieniach spływa mu na ramiona; rysy jakby wyrzeźbione dłutem, obok surowych form, mają wdzięk ujmujący, czarne oko błyska młodzieńczym żarem.

Przed laty dziesięciu poeta z rodziną znowu odwiedził Europę. W Anglii zabawił czas jakiś w domu przyjaciela swego Dickensa, którego nie miał już widzieć więcéj. Zimę przepędził w Rzymie. Z wiosną zawitał do Paryża; tu kolonia amerykańska w połączeniu z Francuzami, wyprawiła mu najświetniejszą owacyą. W końcu lata powrócił do Ameryki, gdzie mimo póżnego wieku nie ustaje w pracy literackiéj.

Longfellow uprawiał wszystkie niemal rodzaje poezyi, zacząwszy od dramatu i poetycznych obrazów, do pieśni ulotnych, wysokim nacechowanych liryzmem. W dramacie *Gilles Gorray*, zebrał fantastyczne tradycye ze świata czarów: główną tu bohaterką czarownica. Z powieści Cerwantesa wysnuł piękny dramat p. t. *Student Hiszpański* znajdujemy tu uroczą postać cyganki Prugozy, oddaną z oryginalnym wdziękiem. W powieści *Miles Standish* odmalował przygody pierwszych pielgrzymów, osiadłych w Ameryce północnéj; walki purytanów oddane w żywy i dramatyczny sposób. Z dzieł tłomaczonych przez poetę, znakomitszy przekład *Boskiéj Komedyi* Dantego, wydany z krytycznym komentarzem wielkiéj wartości. Wśród utworów biblijnych, uderza szczególniéj poemat p. t. *Juda Machabeusz*.

W czterotomowym zbiorze wydania Tauchnitza, obok poematów i ulotnych pieśni, których wymienienie samo przechodziłoby o wiele nasze ramy, znajdujemy wyborne przekłady z różnych autorów tak starożytnych jak nowoczesnych. Szczery miłośnik poezyi, pragnął rozpowszechnić między ziomkami, próby arcydzieł europejskich; sypał je też pełną ręką, ożywiając niemi swój długoletni wykład. Tłomaczył eglogi Wirgillego, przemiany Owidyusza, sonety Michała Anioła, mistyczne pieśni Ś-téj Teresy, dramatu Lopy de Vega, ustępy z Messiady Klopstocka, poezye Malherba Ducisa innych, dawnych francuzkich poetów. Spotykamy także w przekładach pieśni tatarskie, wzięte z francuzkiego tekstu, profesora Aleksandra Chodźki.

Dzieła prozą Longfellowa zasługują niemniéj na uwagę. Oprócz dwóch powieści Kawanagh i Hypergion, z których ostatnia jest kartką wydartą z autobiografii, poeta skreślił ciekawy opis pierwszéj wędrówki po Europie, pod tytułem: *Z za morza!* Najważniejszą stroną w dziele tym, stanowią głębokie studya nad literaturą każdego kraju, kreślone na miejscu pod wpływem świeżych wrażeń.

Obszerny dział poświęca on hiszpańskim poetom szesnastego i siedmnastego wieku. Podnosi szczególniéj geniusz Cerwantesa, godzien świecić na wieki obok Homera i Wirgillego, Szekspira i Kornela. Bada niemniéj do gruntu poemata średniowiecznych Truwerów francuzkich, na których zaledwie że Francya zwróciła podówczas uwagę: dzieło bowiem nosi datę 1835 r.

Zostawiamy na póżniéj sprawozdanie z obszerniejszych poematów Longfellowa, dziś dajemy w przekładzie krótki obrazek Nurembergi, kolebki sławnych mistrzów pędzla i dłóta, ojczyzny Majstersingerów niemieckich.

Nuremberga.

Na dolinie przeciętéj wstęgą bystréj rzeki,
Gdzie na tle widnokręgu, w przestrzeni dalekiéj
Sterczą góry frankońskie, przez rąbek mgły sinéj,
Siadła tu Nuremberga, gród w świecie jedyny.

Grodzie słynny przemysłem, i sztuką i piesnią!
Nad igłami swych wieżyc, wskroś przerosłych pleśnią
Tyle wzpomnień ulata, ile czarnych kruków
Lęże się pod osłoną swych gotyckich łuków.
Pomnisz jak w twym zameczysku z obronnymi wały,
Wspaniałe sobie gniazdo Cezary usłały!
Jak pysznych twoich władzców dumny majestatem,
Tyś szeroko ramiona rozpoztarł nad światem!
W podwórzu jeszcze lipa szeleści zielona
Królewską Kunegundy ręką posadzona.
Gdzie bądź rzucić oczyma, cudowny świat sztuki:
Piętrzą się ku niebiosóm pyszne ostrołuki,
Gdzie zdrój krynicznéj wody z pod ziemi wytryska,
Cudnie rzeźbione grupy wieńczą targowiska;
Na frontonie katedry, ku wieków pamięci,
Wyciosani misternie biskupi i święci,
W których dłuto rzeźbiarza iskrę życia tchnęło,
Spełniają do dni naszych apostolskie dzieło.
A wpośród lasu kolumn, w szczerozłotéj trumnie
Złożony święty Sebald: aby lud zbyt tłumnie
Do sklepionéj Patrona nie pchał się kaplicy,
Rzędem święci na czatach stoją tam strażnicy;
Boży apostołowie ulani ze spiżu.
Kościół Laurentyński panuje w pobliżu:

Widok cudnych arcydzieł, duszę mi pochwyca!
Z ołtarza tu wytryska żywych wód krynica.
Cymboryum rzeźbione biegłą Krafta dłonią;
Tam, zesłańcy niebiescy, aniołowie kłonią
Przed żłobkiem betlejemskim promieniste głowy,
Dzieło nieporównane, cud ręki Stwoszowéj!

W cieniu twych baszt warownych, syt prac i zasługi
Słynny mistrz Albert Dürer spędził żywot długi.
Ztąd odszedł w jasne szlaki nieznanego świata.
I na płycie, co prochy śmiertelne przygniata
Wyryto *emigravit* litery złotemi,
Taki mistrz nie umiera, lecz odchodzi z ziemi!

O tych domów gotyckich piętrzące się mury,
Starych majstersyngerów odbrzmiewały chóry,
Z dalekich stron, gdzie słońca promień słabiej błyska,
Śpiewne rzesze do tego zbiegały ogniska;
Jak na wiosnę jaskółki ciche gniazdka słały,
Pod gzymsami przybytku nieśmiertelnéj chwały.
Tu, cewkę przesuwając, schylony na krosno
Tkacz powtarzał do taktu piosenkę radosną;
Tu kowal o kowadło, gdy twardym bił młotem,
Nucił hymn niezgłuszony piekielnym łoskotem,
Rad że z zuzli kowalskich kwiat pieśni wykwita,
I zdrój natchnień spaloną poi pierś do syta!
Tu Hańs Sachs, szewc-poeta, pierwszy w mistrzów gronie,
Z twardym w ręku pocięglem, w bluszczowéj koronie,
Wtłaczał but na kopyto, i on śpiewak słodki,
Wylewał z głębi duszy czarodziejskie zwrotki.
Kędyż dom, gdzie o ściany słowo brzmiało wieszcze?
Widzę go—tam w ulicy!... stoi cały jeszcze,
Ściany takie bieluchne, wymyta podłoga,
Okno zwieńczone w kwiaty! Co widzę?... u proga
On, Hanz Sachs! Krzepki starzec z długą po pas brodą,
Malowany na szyldzie!... ten dom dziś gospodą!
Tu, gdzie tak mówi do mnie mistrza pamięć żywa,
Robotnik dzienne troski, topi w kuflu piwa!
W czem żyje Nurembergo potęga twych czarów?
Zatarł się w obec świata blask twoich Cezarów,
Cóż do nieśmiertelności wrota ci otwiera?
Pieśń twego szewca Sachsa i pędzel Dürera!
Pielgrzym z ziemi dalekiéj, tu ślady ich goni!
Niech lirnik w cześć twym synom piosenkę zadzwoni,
W poszept ich ścian domowych pobożnie się wsłucha,
Uczci w nich godność pracy i szlachectwo ducha!

S. D.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Ale metalu nie było nie tylko do wysłania nad Adryatyk ale nawet zabrakło go do utrzymania w ruchu machiny gospodarskiéj. Chciał przynajmniéj ulżyć swemu sercu. Nie mając pieniędzy do oddania panu Krzysztofowi, postanowił przynajmniej wytłomaczyć się z tego przed nim. W tym celu podczas jednego z owych dżdżystych dni, które gospodarza na wsi w czarnéj pogrążają melancholii, przy szumie wiatru i dźwiękach szyb opustoszałego dworu, zasiadł do biurka i napisał długi list do zacnego pana Krzysztofa przepraszając go za niepozłanie dotąd należących się mu pieniędzy. Przy téj sposobności w kolorycie stosownym, do swego otoczenia, opisał obecnie swoje położenie, i w olbrzymie serce pana Krzysztofa wylał wszystkie swoje kłopoty.

Maryan nie miał żadnéj myśli ukrytéj w tych zwierzeniach. Pisał bo mu to ulgę sprawiało, bo mu się zdawało, że mówi z przyjacielem, który go rozumie.

Tymczasem zwierzenia te poufne inny wywołały skutek. Trzeciego dnia po napisaniu tego listu, już sporo po północy, gdy wicher z deszczem bawił się w wyścigi, zapukał ktoś do okna Maryana, w którem się jeszcze świeciło.

Maryan przyłożył twarz do szyby i obaczył przed sobą na czarnym koniu jakąś postać olbrzymią, zakapturzoną po same oczy.

Zrazu myślał, że to źle skierowany atak na pustą jego kassę i z tego powodu sięgał już na leżący przy nim rewolwer, gdy nagle przemówił do niego olbrzym na koniu:

— Otwórz Maryanie, bo dyabelnie jestem głodny!

Maryan poznał głos pana Krzysztofa. Serce uderzyło mu rozkosznie. Nie myślał w téj chwili o kłopotach swoich pieniężnych, nie myślał o możliwéj pomocy, ale cieszył się z przybycia człowieka, którego gorąco może do piersi przycisnąć, i przed którym będzie mógł zrobić folgę sercu swemu. Przez dwa miesiące tłumił wszystko w sobie, nie miał ani jednéj duszy któraby go zrozumieć mogła. Teraz przybycie pana Krzysztofa było dla niego istną łaską pana Boga.

Wyskoczył czemprędzéj na ganek i rzucił się na olbrzyma, który właśnie w sztywnéj jak drzewo burce stał przy koniu.

— Drogi przyjacielu! zawołał i chciał go wraz z burką i koniem uścisnąć, ale olbrzym odepchnął go mokrym rękawem.

— Ostrożnie, krzyknął, bo wsiąkniesz we mnie jak żyd w bibułę! Dawaj co jeść!

Maryan zawołał na służbę.

— Zlituj się, mówił do pana Krzysztofa, który szeroką dłonią wodę z siebie zgartywał, jak mogłeś konno wybierać się w podróż!

— Alboż to ja z cukru? zagrzmiał olbrzym, ja lubię taką jazdę! Mniejszy ambaras i mniejszy koszt!

— Ależ to blisko dziewięć mil!

— Ho, ho, ho! zaśmiał się pan Krzysztof, wyciskając wodę z wąsów, ja mógłbym konno pojechać do Wenecyi!

Tymczasem wybiegła zaspana służba, wzięto konia do stajni a pan Krzysztof w wysokich juchtowych butach powoli zdążył do pokoju.

— Proszę cię, kochany Krzysztofie, zaczął Maryan.

Przerwał mu pan Krzysztof:

— Nic nie mów, o nic nie pytaj, tylko daj jeść wprzódy! Jestem tak głodny jak dziad przed odpustem! Po karczmach zaledwie ser i chleb znalazłem! Ho, ho, ho!

Maryan wydał czemprędzéj stosowne rozkazy. Olbrzym chodził tymczasem po pokoju aż mu woda z butów wytryskiwała i niecierpliwie nadstawiał ucha, czy brzęku talerzy nie usłyszy. Nie powiedział ani słowa, tylko odkrząkiwał, aż szyby brzęczały.

Maryan wychodził kilka razy do kuchni, zachęcał kucht[ę], który po pijanym mistrzu objął rządy sztuki kulinarnéj i po kilkunastu minutach doczekał się wreszcie tego szczęścia, że przed panem Krzystofem ujrzał głęboką misę dymiącego się mięsiwa z jakimś gęstym, zawiesistym sosem.

— Masz wódkę? zapytał olbrzym obejmując miłosnem wejrzeniem misę z mięsem.

Za chwilę stała na stole flasza z dużym kielichem.

Olbrzym nalał, wychylił i wziął się do misy.

Uroczyste milczenie panowało czas niejaki. W miarę ubywającego na misie mięsiwa przybywały rumieńce panu Krzysztofowi, a gdy misa wraz z sosem do szczętu się wypróżniła, odkrząknął zacny gość aż psy na podwórzu zawyły, obtarł gębę i rzekł do gospodarza:

— A teraz wypraw służbę do spania, bo żal mi tego biedactwa, żem je pobudził, powiedz mi gdzie fajka i tytoń a gdy cybuch będę miał w gębie, to zacznę z tobą mówić. Człowiek jak głodny to nie wart i szeląga. Nawet żadna myśl lepsza do głowy mu nie przychodzi!

Za chwilę siedzieli obaj przyjaciele w przyjemnym pokoiku, a olbrzym buchał dymem, jakby był lokomotywą.

— List twój mocno mnie zmartwił, zaczął, dla tego pomyślałem sobie, że dobrze zrobię, jeżeli skoczę na karego i trochę się przekłusuję. Spodziewam się że mi to nawet na dobre wyjdzie, bo od kilku dni czułem jakiś ból w krzyżach!

— Przyznam się, że kuracya heroiczna!

— Innéj kuracyi nie znam. A do tego bolu w krzyżach jeszcze jedno licho do mnie się przypytało, na które dobra także jest kuracya... ale późniéj o tem! Jakże twoje interesa?

— Słaby obraz moich interesów dałem ci w liście, ustnie mógłbym tylko wszystko to spotęgować!

— Hm... to źle! Trzeba jakoś pomyśleć!

— Trudna rada. Na każdym kroku przeszkody sam nie wiem co ludziom zawiniłem, że prawie sprzysiężyli się przeciwko mnie!

— Hm, to rzecz znana. Myślałem nad tem, coś mi pisał. Rzeczywiście jest jakaś zmowa przeciw tobie.

— Czuję ją na każdym kroku!

— Bardzo naturalnie. Przyzwyczailiśmy ćmę pasożytów, że naszem ciałem się żywią. Niech się tylko ruszymy, aby to robactwo z siebie strącić, uczujemy zaraz w ciele zatapiające się szpony, które przeciw temu protestują!... Czy nie tak?

Maryan przytaknął głową.

— Ojciec dwór utrzymywał okazały, mówił daléj pan Krzysztof, żywił wiele próżniaków, posługiwał się żydkami z miasteczka... teraz to wszystko widzi byt swój zagrożony i we wszystkiem nogę ci podstawia. Czy nie tak?

— Widzę to jasno!

— Prócz tego każdy dwór dzisiejszy, który się pochyli, ma zaraz w koło siebie czychające na jego śmierć robactwo. Instynktem obliczy ono, kiedy dwór runąć musi i na konto tego rachunku już spekuluje. A niech tylko co mu ten rachunek popsuje, to zaraz wystąpi jawnie przeciw wszelkim usiłowaniom, które do jakiego bądź ratunku dążą! Czy nie tak?

— Widzę żeś dobrze zrozumiał moje położenie!

— A teraz... sens moralny: Co robić?

— Wiedziałbym co robić!

— No, co?

— Przełamać siłą wszelkie machinacye!

— Brawo! Jesteś na dobréj drodze! Tylko nie poddać się! Jak raz zęby pokażesz to wszystko będzie dobre, gdy się raz ugniesz, to wszyscy wylezą na ciebie jak grzyby na powalone drzewo!

— Wiem o tem dobrze... ale.

— Czy jest amator na gorzelnie, kartofle i drzewo?

— Ani myślić! Być może że klątwę rzucono!

— W takim razie jedno jest tylko wyjście!

— Pędzić samemu!

— Brawo! widzę że masz głowę na karku! Trzeba przełamać zapory!

— Wiem o tem dobrze.

— Trzeba przedewszystkiem tak się postawić, jakobyś wszystkich tych dobrodziejów, którzy ojca doili, niepotrzebował! A gdy to spostrzegą, uniżą się i sami przyjdą do ciebie, bo jak mówią lepszy rydz jak nic!

— Byłaby to jedyna droga ale...

— Prosta rzecz, zwieźć drzewo, wziąść gorzelnika i pod kotłami zapalić!

— Wydatki... akcyza...

— No, no... na to znalazłyby się pieniądze!

— Czemże gorzelnia bez wołów?

Pan Krzysztof zamyślił się. Była to znaczna rubryka.

— Wiesz co, ozwał się po chwili, zrobilibyśmy spółkę. Ja dałbym woły a ty brahę! Ho, ho, ho!

— Piękna spółka! Woły i braha!

— No no no... już jakoś by to było! Nie ma co czasu tracić. Jedź jutro do powiatu i zapowiedz otwarcie kampanii. Za tydzień jarmark w Sadogorze, pojadę po woły i za dni piętnaście będzie kapać z kotła codzień po dwieście guldenów!... Prócz tego co tydzień przybędzie w stajni kilkanaście centnarów mięsa! ho ho ho! A co?

Maryan powstał i z rozrzewnieniem podał rękę panu Krzysztofowi.

— Zastanów się tylko, rzekł do niego, czy ty nie ryzykujesz za wiele? Powiadam ci otwarcie, że interesa źle, bardzo źle stoją. Od trzech lat niepłacone podatki!

Zaśmiał się olbrzym aż szyby zabrzęczały.

— Ho, ho, ho! Widziałem ja gorszych mizeraków od ciebie! Czy zaraz nos na kwintę spuszczać? Trzeba się przecież jakoś grzebać a zresztą zdać na wolę Boga! Nie bój się!

Rzekłszy te słowa pan Krzysztof sięgnął w zanadrze i wydobył ztamtąd gruby szarym sznurkiem obwiązany pugilarem i zaczął w nim banknoty liczyć.

— Cóż chcesz robić? zapytał zatrwożony Maryan.

— Chcę ci... jako wspólnik... coś na początek zostawić a resztę załatwimy gdy woły nadejdą.

— Zlituj się... zastanów się... wódka tanieje...

— Tu nie chodzi o zarobek ale o zasadę. Jak obaczą dym z komina gorzelni, to wszystko lepiéj pójdzie!...

— Zostawmy tę sprawę do jutra...

— Ototo! ja jutro muszę być w domu! kazałem zwołać robotników, bo... trochę chałupę poprawiam!

— Jakto? Jutro chcesz odjeżdżać?

— I to jeszcze rano mospanie!

— Nie wypoczniesz?

— Czy nie dosyć pięć godzin do jutra?... A teraz jeszcze przed spaniem na dobranoc powiedz mi, jak się ma pani Eliza w Wenecyi?

— Dziękuję ci... zdrowa... i ojcu lepiéj!

— Nie wychodzi tam za mąż?

Głos pana Krzysztofa brzmiał teraz nadzwyczaj łagodnie jak głos lirycznego tenora.

— Nic mi nie pisze odparł z uśmiechem Maryan.

— No to dobrze. Schowaj pieniądze i bądź zdrów na wypadek, gdybym jutro wcześnie odjechał.

I na tem zakończył się jeden z piękniejszych dni Maryana.

XII.

Zaraz na drugi dzień zmieniła się sytuacya. Między przekupniami i handlarzami miasteczka powstał jakiś ruch niespokojny. Padła między nich wiadomość, że onegdajszéj nocy śród wichru i deszczu zjawił się we dworze jakiś olbrzymi człowiek na karym koniu i Maryanowi dał pieniądze bajeczne. Różne były przypuszczenia o człowieku na karym koniu, ale fakt był niezbity, że dziedzic miał dobrą minę i głowę do góry nosił.

Pierwszym parlamentarzem czy raczéj szpiegiem we dworze pojawił się arendarz Szmul. Obejrzał się najprzód starannie po wszystkich kątach, splunął kilka razy i zajął stanowisko między drzwiami a piecem.

— Cóż tam panie Szmulu? zapytał Maryan.

Arendarz splunął po raz czwarty.

— No, coby było? odpowiedział, ale może u pana dobrodzieja jest co nowego!

— Nic jak zawsze, po staremu!

— Jakto nic? Ojciec pana dobrodzieja nigdy tak do mnie nie mówił. Bywało, że Szmul najpierwszy o wszystkiem wiedział.

— O czemże chcesz wiedzieć?

— W gorzelni coś reperują... Czy Boruch wziął?

— Nie, sam będę pędził!

Szmul splunął.

— Na co panu tego! Gorzelnia to jak loterya!

— Już postanowiłem!

— Zresztą gorzelnia bez wołów...

— Będą woły!

Szmul spojrzał zadziwiony.

— To wielkie ryzyko! rzekł po chwili.

— Cóż robić! Trzeba czasem zaryzykować!

— Ja bym wcale nie radził!

Tym trybem szła dalej rozmowa pomiędzy Maryanem a pierwszym ministrem pana Salezego. Zrozmowy téj nie wiele jak mniemał Maryan, mógł się wysłany parlementarz dowiedzieć, ale oszukał się. Po półgodzinnych zapytaniach i odpowiedziach wychodził arendarz z dworu zadowolony. Niósł z sobą spory zapas potrzebnych wiadomości, które łatwo można było dopełnić.

To też po kilku dniach wiedziano już w okolicznych karczmach i w miasteczku o wszystkiem. Spra-

wiło to niemałe wzruszenie. Pomieszały się rachunki, zachwiały się nadzieje. Nieboszczyk groził zmartwychwstaniem!

Jedna mianowicie okoliczność zrobiła wielkie wrażenie. Dowiedziano się że pan Krzysztof jest w spółce z Maryanem. Pan Krzysztof był człowiekiem zamożnym i miał reputacye znakomitego agronoma. Osobliwie był postrachem na spekulantów starozakonnych, których drogi i dróżki znał doskonale.

Wiadomość o tem połamała nie jednym szyki. Jak pierwéj widoki wspólnéj zdobyczy połączyły wszystkich nawet bez ustnego porozumienia się w jedną zbitą falangę, tak teraz utrata tych widoków złamała zgodne szeregi i popsuła ich harmonią. Każdy myślał tylko o sobie teraz i wolał na własną rękę dać coś zarobić, niżeli w zgodzie wspólnéj siedzieć bezczynnym. Polityka powszechnéj abstencyi upadła, a stronnictwa opozycyi rozpierzchło się.

Po kilku dniach zaczęły się zwolna i ukradkiem prawie pojawiać na ganku dworskim czarne w odświętnych żupanach postacie. Były pokorne i cierpliwe chociaż służący nie przypuszczał ich do audyencyi.

— Dla czego pan lasu nie chce sprzedać? zawołał jeden przez małe okno z kredensu, dokąd udało mu się wcisnąć, przecież ja mogę coś postąpić!

— No, jakże będzie z pszenicą? Krzyczał drugi przez szparę drzwi, bo pokojowy gwałtem drzwi zamykał. Trochę poszła w górę, mogę coś nałożyć!

— Jakie jest ostatnie słowo pana dobrodzieja co do kartofli? pytał przez szyby trzeci, mam kupca, który zaraz zapłaci i z pola zabierze!

— Powiedzcie panu, poufnie mówił do służącego czwarty, że przyszedł Boruch względem gorzelni!

Takie i tym podobne były teraz oferty i oświadczenia jakie Maryan co kilka godzin odbierał. Postanowił jednak wytrwać w swoim programie i majątek rodzinny oczyścić od owych wibryonów, które tylko małéj szparki potrzebują aby się wcisnąć i organizm jego roztoczyć!

Jak dalece mu się to powiedzie, nie wiedział, ale miał chęci jak najlepsze i wolę niezłomną.

Po tych pierwszych nieudałych próbach ataku z frontu zaczęto dwór broniący się mężnie powoli do koło obsaczać. Niewierzono w jego środki obrony. Chciano wszystko dokładnie zbadać, o wszystkiem się przekonać.

Gdy gorzelnię otworzono, aby w niéj potrzebne poczynić restauracye, przychodzili różni wysłannicy i pilnie przypatrywali się różnym robotom. Zaglądali do kotłów, obmacywali rury, mierzyli kadzie laskami.

Wszystko to działo się z prostéj ciekawości, z próżniactwa prawie. Nie mieli co robić więc gapili się.

Maryan rad był nawet tym nawiedzaniom. Ciekawi mogli bowiem na własne oczy przekonać się o jego środkach jakiemi teraz bez pomocy lichwiarzy rozporządza.

I tak wszystkie te przygotowania do energicznéj kampanii dodawały Maryanowi codzień większéj otuchy. Jakkolwiek tego żadnym rachunkiem nie mógł dowieść, był jednak prawie pewnym, że przy pracy i pomocy Boga może mu się uda wybrnąć z otchłani, w której od niejakiego czasu po omacku się błąkał.

Nawet jesień pogodna przyczyniła się do tego, aby świat rzeczywisty i nadzieje jego w lepszem stanęły przed nim świetle. Wierzył że po dniach smutnych i niepogodnych może mu zabłysnąć pogoda i pozostać potem na dalszych jego drogach.

Przy takiéj dobréj wierze, jaką przedewszystkiem umiał go natchnąć zacny pan Krzysztof, zaczął mu się widnokrąg jego życia coraz więcéj rozszerzać, aż wreszcie zbliżył się do linii, po za którą zazwyczaj niebo... marzeń się zaczyna.

Gdy po dziennéj pracy samotny w pokoiku swoim chciał odpocząć, wtedy zajaśniała zwykle przed jego oczami ta linia tajemnicza, po za którą ma się to niebo zaczynać, z wszelkiemi swemi rozkoszami!...

Smutno mu się robiło na taki widok. W życiu swojem marzył nieraz o niebie, jakie ściągnąć może na ziemię kochająca kobieta... ale dla biednego majtka na rozbitym okręcie, który lada chwila wzburzone fale zatopić mogą, był to prawdziwy owoc zakazany!

(d. c. n.)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Rozdział IV.

Paweł St. do Franciszka S. w Berlinie.

W ośm dni później.

Tysiączne dzięki drogi Franciszku za twój list ostatni otrzymany tutaj o dzień tylko później. Może być bardzo że i piękniejsze pisywałeś listy, ale nigdy równe temu, z którego tak jasno świeci twoja przyjaźń dla mnie! Tak mój drogi, w tém życiu przynajmniéj, jesteśmi nierozłącznie związani, a ta na miljony może raz spotykająca się zgoda zdań naszych i skłonność, zapewnia mnie że w późniéj nastąpić mającéj metampsychozie, jednakowym przemianom podlegać będziemy. Przypuśćmy że ty mój młody dumny orle, przez przyjaźń dla mnie zamienisz się w odwieczną wronę, która dla tego tylko dziób swój otwiera by złowrogo o przyszłém mojem szczęściu krakać, być może że ta troskliwość do łez by mnie wzruszyła, nie dlatego bym choć w części obawy twoje podzielał, ale z wdzięczności, gdyż wielkością twojéj przesady będę mógł mierzyć przyjaźń twoją dla mnie. Jak wielkiemi idealistami są ludzie, łatwo przekonać się można, z idealnych obrazów swoich ukochanych które w sercu noszą! Ale drogi Franciszku, czy ten piękny idealizm, nie czyni nas często niesprawiedliwymi względem rzeczywistości? A czy nim nie jesteś względem mnie w téj chwili? Ty nie chcesz zrozumieć co z mojéj wędrówki po świecie może wyniknąć dobrego. Pytasz czy to był cel dla którego na wpół gwałtem wyrwałeś mnie z rozrzuconego i denerwującego życia Berlina? Twierdzisz że przez przyjęcie zaproszenia Gustawa popełniłem lekkomyślność, a nareszcie: w razie jeżeli obecnego stosunku odrazu zerwać nie mogę, usilnie kładziesz mi na sumienie obowiązek prowadzenia ścisłego dziennika wszystkiego co tutaj wydarzyć się może. Prawdziwie! jeżeli dotąd wśród białego dnia strachów nie spotykam, jedynie zawdzięczyć to muszę spokojnéj krwi mojéj. O Wrono! dziwaczne stworzenie!

Lecz twoja dobra rada przychodzi za późno! Obawy twoje spełnione, nieszczęście się stało, chociaż cię to przerazi, wiedzieć jednak musisz, że jestem zakochany! Słuchaj daléj i wzdrygnij się raz jeszcze, kocham! Lecz bez wzajemności! Przerazisz się po raz trzeci, gdy ci powiem że mnie na tem nic a nic nie zależy. Moja ukochana jest tak zimna jak Bóg Spinozy, ale nie tak dalece pozbawiona namiętności.

Jest fantastyczna, zmienna, i o każdéj godzinie inne pokazuje oblicze: to raz ciężko zachmurzone jak rozgniewana Junona, to przerażająco straszne jak głowa Meduzy, lub dziecinno swobodne jak uśmiechnięta Hebe. Godzinami siedzę wpatrując się w jéj twarz, i wsłuchuję się w jéj głos cudowny a pełen tajemnic. Kocham ją dlatego że jest tak piękna i wspaniała, i gdziekolwiek ujrzę biały rąbek jéj szaty padnę przed nią na kolana, i do niéj uwielbionéj modlić się będę; ani chcę ani mogę jéj zapomnieć; tak jak Szwajcar niezapomina Alp zielonych, zkąd dochodziła go melodya fujarki; zarówno ten niezapomina morza, kto raz już wsłuchiwał się w szmer fali. A morze! morze właśnie jest tą moją ukochaną!

Czy jeszcze jesteś zazdrosny? powiedz, nie jesteś ciekawym poznać tę moją ukochaną? Czy na parę tygodni nie mógłbyś porzucić nudnych twoich aktów? Zapewniam cię że jak długo tu zabawisz, ani razu nie zatęsknisz za prochem rodzinnéj twéj ziemi, a witanym tu będziesz tak, jak witano gościa w owych dawnych czasach, gdy nie istniały jeszcze hotele i kelnery. Uważanym będziesz za dziecko domu, bo tutaj każdy takim się czuje. Nad morzem siadywać będziemy i patrzéć na łodzie retmanów, jak przez szumiące fale śmiało i pewnie torują sobie drogę do okrętu, którego maszty wznoszą się nad ostatnich fal szczyty. Lub w chwilach spokojnego morza i my wypłyniemy, a ujrzawszy się zdala od ludzi, zupełnie samotni, spuścimy się na los fali, i rozciągnieni w łodzi patrząc w błękitne niebo, marzyć będziemy.

Ale mnie przecież marzyć niewolno! muszę czuwać i oczy mieć otwarte abym nie wpadł w sidła, które mi tutaj źli ludzie stawiają. Źli ludzie! gdybyś ich znał tylko! Nie byłbym nigdy wierzył że na téj pustéj nieznanéj garstce ziemi, ziemi? raczéj piasku, tyle znaleźć można wzniosłych uczuć, dobroci, i piękna, czem co dnia duszę i oczy napawam. Życie jest tak niewypowiedzianie bogate, zewsząd się budzi, kiełkuje, rośnie i kwitnie, „kwitnie najdalsza najgłębsza dolina“ jak stoi w pieśni. I oto przychodzą poeci, i jak młode skowronki strawy, szukają wątku i myśli!

Żądasz krótkiego rysu tutejszych ludzi. A więc zaczynam: Początek od *mądréj Heddy*. Jest to zagadka, rusałka, w niéj się domyślam siostrę Ondiny lub samą przeczuwam Ondinę; stary Goethe byłby ją nazwał *Naturą*. To raz jest dziecinno swawolna, to znowu spokojna i wzruszona. Umie marzyć jak święta Cecylja, a gdy na jéj uczuciowość zwrócisz uwagę, sama siebie wyśmieje. Już nieraz brałem ją za wprawną kokietkę, a w chwilę potem żałowałem tego w duszy i powtarzałem: „to jeszcze dziecko.“ Klementyna pod każdym względem jest Heddy sprzecznością, lecz nie dlatego iżby na mnie niekorzystne zrobiła wrażenie! Sądzę że całemi latami mógłbym być w towarzystwie Heddy, i przez myśl by mi nie przeszło w niéj się zakochać, gdy przeciwnie w obec Klementyny nie byłbym tego pewien. Z nich dwóch niezaprzecznie ładniejszą jest Klementyna, są chwile że bez przesady, nawet piękną nazwać ją można. Lecz w całéj jéj istocie panuje z flegmą graniczący spokój, wprawdzie nie czyni ona wrażenia osoby zimnéj, lecz nie zachęca do zaufania, nie zmusza nas do wywnętrzenia i pokazania że nie jesteśmi najgorszymi, tak jak to czyni wiecznie ruchliwe, nieobliczające naprzód usposobienie Heddy. Klementyna mówi mało, Hedda zaś dla kogoś co sam mówić lubi, to prawie za dużo. Przeczytanie pięknego poematu, widok zachodzące-

go słońca, są w stanie napełnić łzami ciemne oczy Heddy. Przeciwnie, wszystko to zostawia Klementynę zimną, lecz tylko na pozór, bo przelotny rumieniec który przy każdém wzruszeniu przebiega twarz młodéj kobiety, i szczególny wówczas blask jéj niebieskich oczu, zdradzają że z nich dwóch ona więcéj jest namiętną.

Również i w fizycznéj naturze tych dwóch kobiet uderzająca zachodzi różnica, zwróciłem na to uwagę na przechadzkach które wspólnie codziennie robimy. Ruchy Heddy szybkie, powabne jak ruchy sarny, zdaje się że równie obce jéj fizyczne jak i duchowe znużenie.

Klementyna zaś chodzi powoli, i w miejscach spoczynku zatrzymywać się lubi. Klementyna podobna do łabędzia, pływającego z rozwagą po powierzchni stawu; Hedda równa się lekkiéj mewie, która na chwilę tylko spuszcza się na fale by zaraz szybkiemi skrzydły unieść się nad wzburzone wody. A przecież węzeł przyjaźni łączący te dwie kobiety jest mocny i serdeczny. Mówiła mi Hedda że Klementyna młodszą jest od niéj, ale godność mężatki, i jéj spokojne, jednostajne zachowanie się, czynią ją starszą. Hedda ma dla niéj wiele szacunku, podobnie jak młode dziewczę z pensyi dla siostry, która téj zimy po raz pierwszy była na balu, a Klementyna znowu niezmyślone ma uwielbienie dla zalet i talentów Heddy, i na to tylko zdaje się zwracać uwagę, by zbytecznym wybrykom jéj pustoty przeszkodzić, lub w stosownéj utrzymać je mierze.

Mógłbym ci jeszcze całe zapisać arkusze o tych dwóch uroczych istotach, ale czas nagli, a chcę jeszcze powiedzieć słówko o starym komendancie, i panu von Elze, którego niedawno poznałem, pragnę zapoznać cię dobrze, z tem małem kółkiem, w którem tak się niespodzianie znalazłem, a sądzę że przez cały czas pobytu mego tutaj, już się trwożyć o mnie nie będziesz.

Zaczynam od pana von Elze jako mniej mającego dla mnie interesu, przypominając że już raz opowiedziałem ci jego dzieje. Wystaw sobie mężczyznę przeszło lat trzydziestu, o energicznych niebrzydkich rysach twarzy, w którego powierzchowności mało się przebija dawniejszego zawodu wojskowego. Nietylko że nie ma téj wojackiéj postawy, którą oficerowie nasi z placu parady przejmują, ale również nie ma tego układnego zachowania jakie przyswajają oni sobie na gładkich posadzkach salonów. Pomimo że długie lata obracał się wśród wysokich nawet najwyższych sfer towarzyskich, jednak chodzi, stoi, i mówi jakby nigdy nie należał do wybranych dzieci świata, lecz był takim jak i my, zwykli synowie ludzi. Właśnie to w oczach moich na korzyść jego wyszło, a przedewszystkiem wyznam że znany ci mój dar *intuicyi* zawiódł mnie tym razem. Ufam że skromność pana von. Elze nie jest udaną, i ani jego powierzchowność ani zachowanie nie potwierdzają niekorzystnego uprzedzenia jakie zrazu do tego człowieka powziąłem.

By jednak sławę proroczéj mojéj umiejętności utrzymać, dodaję, że nie podobają mi się jego szare oczy, a i tobie podobaćby się nie mogły. Mają coś w sobie zimnego, kłującego i zdaje mi się że on należy do rzędu tych ludzi *u których boku nie można wypocząć.*

O ile z pozorów sądzić wolno: *co ma, to daje*; zawsze więc dobrą jest zdobyczą dla naszego małego grona. Że chwilowo miewa napady złego humoru, to jemu jako wygnańcowi wybaczam, jakkolwiek to posępne usposobienie wydaje mi się nieusprawiedliwione teraz właśnie, kiedy oddawna upragniony rozkaz przeniesienia przywiózł sobie z miasta i za kilka tygodni obejmuje znaczne stanowisko. Szczerze mówiąc, ze stosunku jego do obydwóch pań i do reszty osób jeszcze sobie sprawy nie zdałem, szkic więc zostaje niedokończony.

A na ostatek: *co łaska na piwo mój Panie* jak to mówią dozorcy w menażeryach, gdyż chcę ci pokazać, najkosztowniejszą sztukę mojego zbioru, wspaniały okaz starego lwa morskiego, który odrazu zjednał sobie moje serce, i twoje także zjednaćby sobie potrafił, gdyby stara wrona serce niezaschłe mieć mogła.

Jeżeli po tym szumnym wstępie masz nadzieję znaleźć w poczciwym komendancie morskiego romantyka, i stanie ci na myśli z *Coperfield* Dickensa ów stary Peggoty o kościstéj postaci, białym włosie wyngdzniałéj twarzy i błyszczących ponuro oczach, to papie Walterowi nadto zrobisz zaszczytu i nieskończenie mi przykro powiedzieć, że w ulubieńcu moim ani cienia romantyczności nie ma, a powierzchowność jego więcéj przypomina zamożnego mieszczanina małego miasteczka, niż dzielnego lwa morskiego jakim był, i jakim jest jeszcze: właściwie nie jest on tak stary, liczyć może lat pięćdziesiąt, i wygląda na to jakby miał jeszcze długą drogę do przebycia zanim ze znużenia stanie. Widocznem jest że fale na których tułał się całe swoje życie, na ciało jego ten sam wpływ mieć musiały jaki mają na krzemień u brzegu. Tak jest pulchny i okrągły że do najmniejszego falika wypełnia swój błękitny uniform. A przecież ta tak dobrze wyglądająca osobistość przeszła udręczenia, które śmiało porównać można, ze wszystkiemi cierpieniami któremi tak chętnie szczyci się wspaniały, nieszczęśliwy Odysseusz. To poczciwe niebieskie oko, widziało tyle dziwacznych rzeczy, szczególnych ludzi, tyle wypadków awanturniczych, że i Sindbad podróżnik, więcéj ich widzieć nie mógł. Pragnąłbym tylko by ten mój Odysseusz oprócz doświadczenia posiadał opowiadania równe tym dwom znanym w świecie kłamcom, ale niestety! *słodkiemi usty nie obdarzył go Apollo*! i jego nieskończone naracye podobne są do długich leniwych fal spokojnego oceanu. Jak one łączą się z sobą tak że żaden człowiek nie jest wstanie dojrzéć gdzie kończy się jedna a druga zaczyna, tak i opowiadania jego. Słuchaczowi nie pozostaje nic innego, jak iść cierpliwie za prądem, nie troszcząc się o to przy jakim zatrzyma się brzegu. Mimo tego, ten człowiek tak na pozór roztargniony, w chwilach niebezpieczeństwa które i najpilniejsze mieszają umysły, nie traci przytomności, i z nieograniczoną przewagą włada środkami jakie mu umiejętność i doświadczenie podają. Człowiek ten gubiący co chwila wątek opowiadania, jest wstanie w śród najciemniejszéj nocy, mgły i nawałnicy, bez mappy i kompasu, przeprowadzić okręt do portu przez wązkie i kręte przejścia pośród skał podwodnych, z tą samą instynktową pewnością, z jaką pies myśliwski goni zwierzynę po tropie. Te cenne przymioty zostały słusznie uznane i postawiły go na tem odpowiedzialnem stanowisku jakie teraz zajmuje. Z początku opierał się trochę przyznanemu zaszczytowi, gdyż uczyniony był mu w chwili, gdy używając w spokoju zapracowanego grosza, pragnął wypocząć na swoich laurach; nakoniec jednak odniosło zwycięztwo, cokolwiek dającéj wybaczyć się próżności, przekonanie że jeszcze wiele dobrego zdziałać może, a przedewszystkiem to wrodzone zamiłowanie wiążące żeglarza do morskich toni, jak myśliwca do borów zielonych. Naturalnie że wiem to wszystko z ust innych, a szczególniéj od jego córki, która na wiele rzeczy patrząc przez szpary, nieskończenie przywiązaną jest do ojca; on sam zaś jest nadto skromny by najprostsze pytanie nie miało go wprowadzić w najprzykrzejszy kłopot. Dodaj do tego że papa Walter, naiwny jest i łatwowierny jak dziecko, a tak hojny, że gdyby żył wśród Indyan dawno już byliby go *szczodrą dłonią* przezwali; dobrym jest dla wszystkich a szczególniéj dla ukochanéj swéj córki.

Gdy już dobrze rozważysz to co piszę, powiedz mi mój drogi, czy mógłbyś rzucić kamieniem na tego człowieka dlatego że ma maleńkie słabostki, że woli wypić szklankę groku, jak nie pić go wcale, że woli dwie niż jedną, lub ma to dziwactwo, że codziennie rano traci godzinę czasu na wytępianiu najmniejszych choćby włosków na swéj okrągłéj, dobrodusznéj twarzy, do czego używa pół tuzina angielskich brzytew najprzeróżniejszych kształtów?

Oto mój *szkic* i pytam ciebie czy to naprawdę występek, wśród tych miłych ludzi parę tygodni, według ciebie, *zmarnować*? Przyznaję że przez te wszystkie dnie byłem zapamiętałym próżniakiem, lecz gdybym był innym, czułbym się niegodnym aby mnie słońce ogrzewało.

A jednak drogi przyjacielu, jednocześnie byłem i pilny i jak pszczółka skrzętny, od rana do nocy. Wspomnienie tych dni słonecznych, niech mi będzie różczką czarodziejską, na któréj skinienie rozjaśni się najchmurniejsze styczniowe niebo, i obym wówczas również jasno czuł i przyjmował dzieła i sworzenia wielkiego ducha, tak jak i teraz pojmuję i mógł powtarzać z pokorą i zachwytem tak jak powtarzam teraz: *światło jest szatą którą się On okrywa.*

Rozdział V.

Szlachetniéj niż wielu myślał Paweł o miłości, małżeństwie, oraz stosunku płci względem siebie, i dlatego właśnie wszelka trwożliwość w tem względzie wydawała mu się o tyle śmieszną, o ile wstrętną była mu wszelka rozpusta. „Nasza młodzież“ z małym wyjątkiem chyba, są to pedanci lub rozpustnicy, a nasze młode dziewczęta, to albo kokietki albo lalki woskowe. Jedne mówią: co jeść będziemy co pić będziemy? a drugich troska: kiedy wyjdziemy za mąż, w co się ubierzemy? Gdyby to jeszcze były piękne ambrozyjskie poganki; ale o ojcu Jowiszu wiedzą zarówno mało, jak o swoim Ojcu w niebiosach.

Przy takim sposobie myślenia, ginie wszelka swoboda, wraz ze swobodą mysl i dowcip, a zastępuje je drewniana sztywność, ogólna praktyczność, co bynajmniéj nie przyczynia się do moralności, a jest o wiele więcéj nudniejszem.

Gdy w pierwszych dniach znajomości, śmiałość, żywy, serdeczny charakter Heddy, brał nieraz Paweł za kokieteryą, teraz przekonał się, że i jego duch swobody, niegodziwemu światu zapłacić musiał niegodziwy haracz. „Jacy szaleńcy my ludzie jesteśmy!“ mówił do siebie, tęsknimy długie lata za kwiatem paproci, w poszukiwaniach za nim przebiegamy pola i lasy, a gdy nareszcie znajdziemy go wśród skał samotnych, nie zwracając uwagi idziemy daléj, lub co gorsza gardzimy nim! Ja jednak tego nie zrobię, będę się wonią jego napawał; będę się cieszył jego miłą postacią, ale nie stanę się tkliwym i nie zapytam: czy ty mnie kochasz, o! kwiatku paproci? Zachowanie się Pawła względem Heddy zawsze było pełne taktu, a młoda dziewczyna czuła się pociąganą do swego towarzysza tak zawsze wesołego i pełnego uprzejmości, który pomimo żywego usposobienia, jednem słowem, jednem spojrzeniem, nie drasnął nigdy jéj subtelnego poczucia przyzwoitości. Gdyby idylla młodéj ich przyjaźni nie na samotnéj wyspie lecz w mieście miała miejsce, nie byłoby końca niedorzecznéj gadaninie nad „tak wpadającym w oczy stosunkiem.“

Wszak to nieprzezorność ze strony Klementyny

zostawiać przyjaciółkę tak często i tak długo sam na sam z kuzynkiem? Czy możnaby wybaczyć papie Walterowi, że raz sam odepchnął łódź od przystani, na której córka jego z młodym nieznajomym siedziała i kto wie jak daleko na otwarte morze popłynąćby mogli?

— Zdaje mi się że bez obawy podróżowałabym z panem po całym świecie, rzekła raz Hedda przy podobnéj sposobności. Czy zaraz mam powieźć Panią w świat daleki, czy téż napowrót na Nedur?“ odpowiedział tenże wesoło. W rozmowach swoich przyjęli ton im tylko właściwy, pośredni między powagą a żartem, albo był on jednym i drugim zarazem. Często mówili o wzniosłych przedmiotach, ale z łatwością umieli przechodzić do potocznych rzeczy.

— Dlaczego u Greków bogini piękności z morza powstaje? pytała raz Hedda.

— Dlatego że największa piękność, tylko z największéj głębi powstać może, odrzekł Paweł.

— Zkąd to pochodzi że na każde moje pytanie masz pan gotową odpowiedź?

— Ztąd że na mądre pytanie i głupiec nawet dobrze odpowie, a przeciwnie, jak mówi przysłowie, głupiec w jednéj minucie więcéj zada pytań, niż jest w stanie przez godzinę odpowiedzieć mądry.

— Jesteś jednak bardzo uczony mój sąsiedzie.

— O wiele mniéj jestem uczony, niż ty myślącą moja sąsiadko.

— Nie żartuj pan ze mnie.

— Do pani zawsze prawdę mówię.

— Czy to nie względem wszystkich jest obowiązkiem?

— Przypomina sobie pani co mówi Goethe o błaznach i o dzieciach mądrości?

— Nie.

— Dzieci mądrości niech uważają błaznów za błaznów, tak jak się słusznie im należy!

— Ta zasada wydaje mi się bardzo niebezpieczną.

— To zależy od wielu okoliczności.

— Czy obiecujesz mi pan zawsze mówić prawdę?

— Przyrzekam pani; może niezawsze całą prawdę — ale zapewniam że jedynie tylko prawdę.

— W takim razie już w połowie liczysz mnie pan do głupców?

— O nie! ale jako dziecię mądrości wiem, że całkowita prawda bywa niekiedy niebezpieczną.

Innym razem pytała Hedda:

— Dla czego o ukochanych zmarłych lub oddalonych, częściéj w chwilach szczęścia niż w chwilach smutku myślimy.

— Może dlatego że smutek zamkniętemi nas czyni, gdy przeciwnie szczęściem z drugimi pragniemy się podzielić, odrzekł Paweł.

— To dlatego chyba zraniona Elenn Freiligratha ucieka od zdrowych i ukrywa się w lesie by tam umrzeć samotnie.

— Tak sądzę. Co się zaś tyczy umarłych, wieczna szczęśliwość z ziemską niedolą nic nie ma wspólnego, gdy przeciwnie, szczęście doczesne daje nadzieję szczęścia w przyszłem życiu.

— A czy pan wierzy w wieczną szczęśliwość?

— Wierzę, nawet gdyby nie była niczem innem jak tylko głębokim snem bez marzenia?

— Dlaczegóż snem bez marzenia?

— Dlatego, że według Hamleta, nie wiemy jakie we śnie nawiedzą nas marzenia.

— A gdyby tylko przyjemne być miały?

— Uważam to za niemożliwe. Gdzie jest światło tam i cień być musi, kogo sen uszczęśliwić jest w stanie tego i przerazić może.

— Czy śnisz pan często?

— Za często nawet.

— I wierzy pan w sny?

— Wierzę, to znaczy że wierzę w to, że gdy sen wzburzone fale życia do gładkiéj powierzchni przywróci, łatwiéj poznać możemy co w głębi naszéj duszy drzemie.

We śnie te osoby wydają nam się pełne przyjaźni lub nienawiści, które w rzeczywistości kochamy lub nienawidzimy, pomimo że na jawie albo nam są obojętne, albo co więcéj zdają się przeciwne wywołuwać uczucia.

— To jednak szczególne że sen przedstawia nam zawsze obrazy osób oddalonych.

— Nie zawsze właśnie niedawno śniłem o pani.

— A i jakże przedstawiłam się? Czy godną nienawiści, przyjemną, czy też obojętną?

— Doprawdy sąsiadko, nie wiem jak ci odpowiedzieć?

— Prawdę, tylko szczerą prawdę!

— A więc, nie przypominam sobie by obraz pani zrobił na mnie wybitne jakie wrażenie.

— Więc obojętne.

— Nie inaczéj.

— Ależ mój sąsiedzie, to straszna nieuprzejmość z twéj strony!

— A cobyś pani powiedziała gdybym podobnie młodzieńcowi Heinego, upadł na kolana, przed panią i zawołał: Sąsiadko ja kocham ciebie!

— Natychmiast wyśmiałabym pana.

— A więc widzi pani.

— Czy nie chciałbyś pan poczytać trochę?

— Jestem gotów na rozkazy pani.

(d. c. n.)

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Obecnie podamy niektóre szczegóły z drugiego opracowania pana Sayous dotyczącego stanu obecnego i przyszłości Węgier.

Ludność tego państwa złożoną jest z najrozmaitszych żywiołów, różniących się pomiędzy sobą religią i pochodzeniem. Węgry wraz z Siedmiogrodem mają siedm milionów katolików, dwa miliony protestantów reformowanych, milion dwakroć sto tysięcy protestantów wedle nauki Lutra, sześćdziesiąt tysięcy zjednoczonych, milion pięćkroć sto tysięcy grekounitów, dwa miliony i pół wyznania greckiego a nareszcie pół miliona żydów. Każda gałęź odrębna ludności wyznaje różną religią. Madziarzy właściwi są po większéj części katolikami lub kalwinami, Rumuni i Słowianie są wyznania greckiego, Rusini są unitami a Niemcy lutrami. Różnica jednak religijna nie przeszkadza do dobréj zgody i harmonii tyle sprzecznych żywiołów. Jeżeli w niektórych okolicach Żydzi są niecierpiani to nie ze względu na ich wyznanie, ale zbytnią chciwość a małą sumienność w stosunkach handlowych, i nietajoną chęć nabywania posiadłości ziemskich niezawsze w sposób prawy i uczciwy. Jest to więc kwestya finansowa i ekonomiczna więcéj aniżeli religijna. Różne jednak wyznania chrześciańskie zostają z sobą w najprzyjaźniejszych stosunkach. Pan Sayous spotykał księży katolickich idących pod rękę z pastorami protestanckiemi, rozprawiających przyjaźnie o dogmatach religijnych; w akademii królewskiéj, nie wymieniając innych, wspomnimy jedynie o biskupie Ipolyi, o pastorach Rewesz i Ballagi pracujących wspólnie nad gromadzeniem materyałów historycznych i uporządkowaniem takowych.

Przyczyną tyle zadziwiającéj zgody jest miłość wspólnéj ojczyzny, wszyscy bez względu na różnicę religijną znaleźli się we wspólnym obozie, mającym na celu odzyskanie zatraconych praw narodowych.

Tak jak gdzieindziéj tak i tutaj osiedli Niemcy zostali dobrymi obywatelami kraju, łącząc swoje losy z losami miejscowéj ludności. Tylko Jezuici są znienawidzeni przez katolików, ponieważ dokładali kiedyś wszelkich możliwych usiłowań, aby zniweczyć niepodległość Węgier.

Katolickie duchowieństwo jest uposażone najlepiéj, niektórzy biskupi posiadają z dóbr dyecezalnych około trzechkroć sto tysięcy franków dochodu. Duchowieństwo unickie jest bezporównania uboższe. Pan Sayous w podróży swéj po Węgrzech słyszał biskupa unickiego mówiącego do swych parafian: pijcie moje dzieci! pijcie... ale z umiarkowaniem, dodał po małéj chwili przestanku. Szczególna w swoim rodzaju nauka objaśnioną została w sposób bardzo zrozumiały: oto pewna część dochodów propinacyjnych stanowiła jedyne utrzymanie biskupa. Węgry konserwatyści *par excelence* długi czas utrzymają taki stan rzeczy, chociaż dziwny to pomysł opierać dochód dostojnika kościelnego na propinacyi. Wyznania luterskie i kalwińskie nie ulegają opiece rządowéj i pozostawione są samym sobie.

Słabą stroną Węgier są ich finanse jako oparte na dochodach nadzwyczajnie niepewnych. W dzisiejszych czasach wszelka jednostronność pracy narodowéj jest nadzwyczajnie szkodliwa; gospodarstwo powinno być rozwijanem na równi z najodpowiedniejszemi do okoliczności miejscowych zakładami przemysłowemi; jedyna to droga do utrzymania równowagi ekonomicznéj tyle koniecznéj dla ogólnego dobrobytu. Za wzór w téj mierze może posłużyć Francya, gdzie prawie wszystkie gałęzie pracy ludzkiéj rozwinięte są w równéj potędze. Ekonomia polityczna potępia system gospodarstwa narodowego opartego jedynie na węglu, żelazie i przędzy, ale nagania również wyłączne oddanie się rolnictwu, jako czyniącemu zależnem utrzymanie całéj ludności od dobrego lub złego zbioru. Otóż ten ostatni wypadek zachodzi w Węgrzech Ziemia ich niezaprzeczenie jest wielkiéj żyzności, przy sprzyjających okolicznościach wynagradza sowicie pracę około niéj łożoną, ale niestety warunki klimatu są nadzwyczajnie niepewne, i z tego względu wynikają częste klęski wywołujące nędzę ogólną. Spichrzem Węgier jest wielka płaszczyzna wśród nich położona, któréj czarnoziem może rozradować serce najbardziéj wymagającego rolnika. Rozległe te niwy zaopatrujące nietylko miejscowe potrzeby, ale będące podstawą wywozowego handlu, położone są prawie na równi z łożyskami rzek. Zbyt nagłe topnienie śniegów w górach lub zbyt rzęsiste deszcze, sprowadzają wylew wód niszczących całoroczną pracę gospodarzy. Nie dosyć na tem, zagraża jeszcze wprost odmienne niebezpieczeństwo. Skoro rzeki utrzymane we właściwych sobie korytach a dogrzewające słońce zapowiada obfity zbiór wina, wówczas rolnik z trwogą zwraca uwagę na wzrastające gorąco, grożące wypaleniem przyszłych jego zbiorów.

W podobnych warunkach zbiór jest albo nadzwyczajnie obfity albo żaden, co właśnie miało miejsce w ostatnich czasach, po latach bowiem urodzajnych nastąpiły lata jak najgorsze. Niezaprzeczenie nieurodzaj wszędzie jest klęską, we Francyi jednak w podobnym wypadku inne gałęzie pracy ratują ludność od nędzy; inne jest położenie Węgier jako wyłącznie poświęconych rolnictwu. Mieszkańcy miast nawet zajmują się gospodarstwem; w Debreczynie mającym trzydzieści tysięcy ludności, można zobaczyć przy głównych ulicach stodoły i obory,

lub też wracające krowy z paszy a woły i konie od pracy. Nieurodzaj zatem w podobnych warunkach jest klęską ogólną, a cóż dopiero powiedzieć jeżeli przez pięć lat po sobie idących nie dopisały zbiory. Niedostateczne i niezdrowe pożywienie osłabiając ciało, daje łatwy przystęp różnym chorobom epidemicznym; w roku 1873 umarło przeszło sto tysięcy osób na cholerę czego głównym powodem była wielka nędza panująca pomiędzy włościanami. Początkowo po zawartym układzie z Austryakami wszystko szło jak najpomyślniéj, niezakłócona zgoda łączyła obydwie strony ponieważ urodzaje były dobre. W latach jednak następnych różnego rodzaju klęski spadły na nieszczęśliwych Węgrów: obok spalonych lub zalanych zbiorów, obok cholery, obok wylewu rzek zagrażających nawet zniszczeniem Pesztu, szalone jakieś uragany przebiegały płaszczyzny i wzgórza wywracając domy mieszkalne jako też zabudowania gospodarcze.

Oprócz jednak klęsk naturalnych a tem samem przemijających, są jeszcze i inne przyczyny wywierające wpływ szkodliwy na rozwój narodowego bogactwa. Na czele stawić należy zbyt wielkie posiadłości ziemskie należące po większéj części do zadłużonych magnatów, dla których nieurodzaj jest klęską śmiertelną, pozbawiającą ich wszelkich dochodów. Nie mając kapitałów do pokrycia bieżących potrzeb, zniewoleni są sprzedawać Niemcom i Żydom wioskę za wioską, przyczyniając się tem samem do wynarodowienia własnéj ojczyzny. W ogóle jednak rozdrobnienie ziemi w Węgrzech jest niewielkie; często bardzo można spotkać własności należące do jednego magnata liczące trzydzieści wsi, w których ludność wiejska nie jest nawet czynszownikami, ale poprostu wyrobnikami dziennemi. Stosunek taki wywołał niewiarę wzajemną objawianą w sposób nawet krwawy. W czasie cholery w r. 1831 wielu panów było zabitych przez lud oskarżający ich o zatrucie studzien i źródeł. W roku 1873 podobne skargi dochodziły do uszu pań, pilnujących chorych po szpitalach założonych własnym kosztem właścicielek ziemskich.

W liczbie przyczyn wywołujących klęski finansowe, należy położyć zbytnią nieoględność Węgrów, gorączkowy pośpiech w przeprowadzaniu szczególniéj robót publicznych zostawiających tem samem wiele do życzenia Jeden z deputowanych węgierskich w rozmowie z panem Sayous, scharakteryzował doskonale położenie. Potrzebowaliśmy, mówił on, przeprowadzić w kilka lat reformy i uskutecznić prace, które w innych państwach europejskich rozwijały się stopniowo w przeciągu lat kilkudziesięciu. Przysłowie polskie może zbyt energiczne, za które przepraszamy Szanowne Czytelniczki, powiada: co nagle to po djable, otóż takie można wyrzec zdanie, o wielu pracach dokonanych w ostatnich czasach w Węgrzech, a szczególniéj o ich kolejach żelaznych. Przeprowadzono bardzo wiele linii nawet za wiele do miejscowych potrzeb, to też z wyjątkiem jednéj linii z Wiednia do Pesztu i z Pesztu do Bazias, pozostawiają one bardzo wiele do życzenia. Na liniach przecinających się trzeba zawyczaj czekać parę godzin na pociąg następny, stacye są zaniedbane szczególniéj co do pożywienia dla podróżnych, a co najgorsza dochody nie pokrywają wydatków, towarzystwa nie posiadające kapitałów zagrożone są upadłościami, rząd zniewolony jest przychodzić im z pomocą co w ogóle zwiększa deficyt skarbu. Węgrzy za przykładem mieszkańców Berlina i Wiednia przeszli przez chorobę zysku, chcieli zanadto szybko wzbogacić się, co ostatecznie naraziło ich jedynie na straty. Drogo opłacone doświadczenie, nie powinno być dla nich straconem; dalszy szereg błędów mógłby wywołać nader zgubne następstwa. Przyszłość ich jednak może być bardzo pomyślna, jeżeli tylko magnaterya odrzuciwszy podszepty miłości własnéj, spojrzy bez uprzedzenia na położenie własne i położenie kraju; jeżeli wielkie własności będą rozdrobnione i przejdą w posiadanie włościan w charakterze czynszowników; jeżeli gorączka prędkiego wzbogacenia się zastąpioną będzie przez pracę choć powolniéj ale pewniéj prowadzącą do celu; nareszcie jeżeli dźwignięty przemysł równoważyć będzie nieuniknione klęski w rolnictwie. Skoro te cztery warunki będą spełnione to pomyślność Węgier zajaśnieje w całym blasku.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum

z końca roku 1878.

Biblioteka Warszawska, najstarsze z pism naszych poważnych, trzyma się wytrwale raz przyjętego kierunku, tego właśnie, który pozytywiści Warszawsy nazywają z przekąsem „ortodoksyjnym.“ Jest to pismo zbiorowe, zbiór prac których jedyną nicią łączącą jest poszanowanie dla głównych zasad raz obranego kierunku Wszelako nie jest prawdą, ażeby Biblioteka miała zamykać oczy i uszy na nowsze postępy nauk: owszem czasem nowsze pomysły bywają tu stosowane w sposób oryginalny, jak np. usiłowania p. A. Tyszyńskiego w celu pogodzenia gwałtem rzeczy nie dających się pogodzić, darwinizmu z Biblią (ob. zeszyt wrześniowy z r. z. recenzyą dzieła Morawskiego o zadaniu filozofii.

Często na kartach Biblioteki pojawiają się prace zbyt specyalne, ogół czytelników odstręczające, jak np. obszerne studya p. Wrotnowskiego o drogach żelaznych, normach ich opłat i dochodów i t. p. albo też rzeczy, że tak powiemy, zbytkowne, jak np. ogólnie chwalona praca p. Święcickiego o poetach arabskich przed Mahometem. Takie i w podobnym guście artykuły, a nawet i bardziéj jeszcze specyalne, pojawiają się często w obszernych czasopismach zagranicznych jak np. we francuzkim miesięczniku Revue des deux mondes, w którym prawie każdy specyalista, jeżeli nie co miesiąc, to kilka razy do roku znajdzie dla siebie niejedną rzecz fachową; ale Revus wychodzi dwa razy na miesiąc zeszytami znacznéj objętości, ma więcéj miejsca a jest pismem, na całéj kuli ziemskiéj upowszechnionem; Biblioteka zaś ma bardziéj ograniczone i zakres i pole działania i przemawia do czytelników o niższym poziomie umysłowym, gdyż pomimo że jest i powinna pozostać pismem poważném, nie może jednak być przeznaczoną wyłącznie dla uczonych, ale powinna być pismem przeważnie pouczającém i popularyzującém wiedzę; przy tem są u nas sprawy i przedmioty pilniejsze niż np. literatura arabska przed Mahometem, bez znajomości któréj wygodnie możemy się obejść. Część krytyczna szwankuje oddawna w Bibliotece i wartoby pomyśleć o jej odrodzeniu.

Wytknąwszy ważniejsze braki, wymienimy teraz kilka udatnych prac, z liczby pomieszczonych w ostatnich zeszytach Biblioteki. Tak zawsze zajmującą jest Kronika paryzka, która przez czas jakiś przemieniła się była w kronikę wystawy paryzkiéj. Znakomicie i lekko, a co najważniejsza, bezstronnie i prawdomównie kreślonem zostało Wspomnienie o Wolterze; niektóre inne pisma w podobnych wspomnieniach o tymże pisarzu, z powodu stuletniéj rocznicy jego zgonu kreślonych, zanadto hołdowali panegiryzmowi, zacierając lub pomijając milczeniem strony ciemne i wstrętne, których w życiu i działalności Woltera było niemało. W pracowitém studyum o spółczesnéj filozofii niemieckiéj, p. Smolikowski daje sporo ciekawych szczegółów o systematach filozofii zwątpienia, rozpaczy i nicości, jeżeli podobne nauki mogą być nazwane systematami. Pomiędzy twórcami podobnych nauk, naśladowcami słynnego Hartmana, który przed 8 laty w społeczeństwie z imienia chrześciańskiem wznowił buddyjskie pragnienie nicości, pokaźne miejsce zajmuje mało znany u nas Mainländer. Dziwaczną naukę tego nowego apostoła zachodniego nihilizmu, autor artykułu rozbiera szczegółowo. Mainländer raczy wprawdzie uznawać Boga, ale główną zasadą jego nauki jest twierdzenie że ów Bóg pragnąłby przestać istnieć, ale nie może (!) co go bardzo męczy; obowiązkiem więc ludzi jest dopomódz Bogu do unicestwienia się, a najskuteczniejszą ku temu drogą będzie przede wszystkiem praca ludzkości nad swém własném unicestwieniem. Powinni więc ludzie doskonalić się i stawać się coraz cnotliwszymi ażeby nareszcie dojść do tego stanu najwyższéj cnoty gdy... już nie będą mogli spodziewać się potomstwa (Mainländer zapewnia, że taki stan nastąpić musi). Wtedy więc zniknie ludzkość, a potem może zniknie i całe życie na ziemi, a potem może zniknie i cały wszechświat a wreszcie i sam Bóg, który nie będzie miał po co istnieć. Wszystko to byłoby śmiesznem, gdyby nie było smutne. Cóż to, w istocie za smutny musi być stan umysłów i społeczeństwa, jeżeli ideałem i najwyższym celem pragnienia jest nic, zero!

Nakoniec wspomnimy tu piękny artykuł p. Jezierskiego o przekładach polskich psałterza i powieść Kraszewskiego z XVIII wieku p. t. Syn Marnotrawny.

(d. c. n.)

Przewodnik opisowo-porównawczy do wyuczenia czytania i pisania po polsku wszystkich dorosłych i dzieci, w krótkim czasie, z illustracyami, przez nauczyciela *Michała Józefa Konstantynowicza.* Warszawa 1879 r. 8-a mniejsza. Tab. 24 z literami i wzorami pisma.

Jeżeli *Stopniowana droga do książki*, ze swojem *Abecadłem ruchomem*, jako odpowiadająca wszelkim wymaganiom nowoczesnéj pedagogiki, prawdziwym staje się skarbem dla nauczyciela domowego i w ogóle dla rodziców zamożniejszych; to demokratyczna książeczka pana Konstantynowicza, oddać może niemałe przysługi w szkółkach elementarnych tak na wsi, jak i w mieście. Metoda p. Trybulskiego uczy czytać, pisać, a nawet rysować jedno dziecko, gdy według abecadlnika p, K. całą gromadę dzieciaków wtajemniczyć można w trudną sztukę czytania. Nadto z pracy p. K. mogą korzystać nie tylko dzieci, ale i dorosłe osoby, i względnie biorąc rzeczy w krótkim czasie nauczyć się tego. czego w dziecinnym wieku nauczyć się nie miały sposobności, czy ochoty.

Skoro tak donośnego znaczenia jest książka p. K. przypatrzmy się jéj bliżéj i przekonajmy się, na czem jej użyteczność polega, i czy w samej rzeczy dotrzymać może to, co obiecuje.

Pan K. jak się to pokazuje z jego książki, doskonale oznajmiony z praktyką początkowego nauczania, trzyma się, jak wszyscy postępowi pedagogowie, metody nowéj, odrzucając mozolne dawne sylabizowanie. Zapoznaje swoich uczniów najprzód z samogłoskami, a potem ze spółgłoskami, które umie-

jętnie łącząc, dochodzi do pożądanego rezultatu. Samogłoskom (głosom) i spółgłoskom ponadawał pan K. różne nazwiska pochodzące od najbliższych prawie pod ręką będących przedmiotów, ztąd nauka bardzo urozmaiconą, niemal zabawką się staje. A dowcipne to i śmieszne są nazwy, i tak *E* nazywa się *Edzio*, *J*, *Judką*, *D*, *dójniczką*, *Z*, *złamaną* (linią albo laską), ztąd *DZ* wyraża się przez *dojniczkę ze złamaną* i t. d. i t. d. Naturalnie każda z figurek zaczyna się od dźwięku litery, którą przedstawia Tu nauczyciel zachowuje raz na zawsze przyjętą formułę w tym guście.

„Patrzcie oto zgięty *cudak*, tu niby głowa, tu kark, tu niby plecy, tu niby nogi opierające się na piętach, a tu stopy. Na tę figurkę *będziemy mówili cudak* a będziemy nazywali *c*, to jest jak na samym początku wymawiacie, kiedy zaczynacie mówić ten wyraz *c-udak*. Na wyrażenie c (a nie ce) mamy *cudaka*!"

Pomysły w nazwie liter, jak powiedzieliśmy, są dowcipne i wcale niewyszukane. Figurki tych liter przedstawia nauczyciel albo w obrazkach poprzednio przygotowanych, albo dotykalnie na kiju, obręczy lub własnéj figurze (n).

We wszystkich lekcyach jest pewien stały porządek, który określają szczegółowe paragrafy Instrukcyi (str. 39).

Dotąd wszystko bardzo dobrze, ale po co przyczepił autor do swojego abecadlnika gramatykę, która tak, jak ją wyłożył wcale nie jest przystępną do pojęcia nawet dla tych, którzy czytać umieją. Autor ma niezaprzeczenie talent popularyzatorski, nie korzystał jednak z niego, gdy określał części mowy i ich odmiany. Szczupłość miejsca i czasu widocznie go krępowała. Radzimy więc panu K. aby oddzielnie wypracował krótką, a przystępnie wyłożoną gramatykę polską w guście takiéj, jaką napisał Winkler, albo, tyle zasłużony w pedagogice ś. p. Jeske, tylko w odmiennéj nieco formie, mając wzgląd na nierozwinięte wcale władze umysłowe swoich uczniów. Jesteśmy pewni, że taka książeczka wielceby się przyłożyła do poznania ojczystego języka, a przynajmniéj wyuczyłaby ortograficzniéj pisać nawet tych, co się już niby czegoś więcéj, niż czytać nauczyli.

A propos ortografii, dla czego autor trzyma się najnielogiczniejszego użycia joty, owego swojego *judki*, dla czego pisze *instrukcyja?* Zapewne autor wie dobrze, co pisano o téj nieszczęśliwej spółgłosce, więc należało (podług Malinowskiego) pisać *yja*, *ija*, albo *ya*, *ia*, jak wszyszy dotąd piszemy idąc za przepisami Deputacyi b. T. P. N. oraz za powagą takiego gramatyka, jak Małecki, którego przecież i sam autor bierze sobie za wzór przy układzie odmiany słów.

Co do czasu, jakiego potrzebuje uczeń na wyuczenie się czytać, a w części pisać podług metody p. K. to wnosząc z saméj książki, wątpić się godzi, aby ten miał być bardzo krótkim, jak utrzymuje autor, bo to, jak w każdéj nauce, tak i tu zależy głównie od zdatności i pilności ucznia.

J. P.

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie wizytowe. Z materyi faille w paski atłasowe i gładkiéj składa się ze spódnicy i stanika. Dwa gładko spadające z przodu skośno ścięte bryty materyi w paski, od góry zapięte na guziki przysłaniają boki sukni i dochodzą do bryta tylnego lekko podpiętego. Stanik z wyłożonym kołnierzem i ranwersami dopełniony długą kamizelką. Krawatka blondynowa spięta różami.

Ubranie balowe. Spódnica z różowego tiulu stanik zaś z długą fałdowaną frakową baskiną jest z różowego atłasu; wycięty w zęby górny brzeg stanika, stanowiącego jakby gorsecik, zachodzi na poprzeczne plisowanie tiulowe zastępujące bertę, poddane z brzegów plisowaniem z białéj illuzyi. Spódnica suto u dołu garnirowana plisowaniem i bufami, ma przerzucone dwie drapery oszyte atłasowemi plisami i szeroką riuszą; na środku z przodu dane trzy rzędy fałdowania z atłasowéj wstążki 5 cent. szerokiéj. Z boku podpięcie z kwiatów białych z liśćmi złotemi; na głowie dwie złote opaski i róża.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w drugim kwartale 1879 r. wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju, w kwartale II roku 1879 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**

Półrocznie	**„ 2 „ 40**
Rocznie	**„ 4 „ 80**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1 kop. 50**
Półrocznie	**„ 3 „ —**
Rocznie	**„ 6 „ —**

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie ulica Chmielna N. 20.*

Ogłoszenia.

Przyjaciela Dzieci Nr. 13 wyszedł z druku i zawiera:

Dzień czwarty Marca. — Starożytne ubiory (z drzeworytem). — Pogadanki z Ojcem.— Marek Jakimowski. — Korespondencya. w Dodatku: Jak to źle Mamy nie słuchać! (z drzeworytem). — Wierszyk ofiarowany 6-io letniéj Wandzi. — Przygody Zygmusia. —Litościwy chłopczyk (wiersz). — Kawałeczek waty. —Dwa psy (wiersz). — Omyłka. — Drzewo melonowe (z drzeworytem). — Janek i wieśniak (wiersz).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 12 wyszedł z druku i zawiera:

O koniach. — O funduszach melioracyjnych. — Przegląd pism rolniczych zagranicznych. — Kronika rolnicza. — Wiadomości krajowe, handlowe i rozmaitości.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.

na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.

Adres: *Do Redakcyi* **Tygodnika Rolniczego** *w Warszawie Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, Марта 14 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

Rozdział XII.

Aresztowanie.

Znany ze swéj zręczności *detektiw* z Londynu, pan Blair, i lord Dane, nie mogli zrozumiéć tego jakim sposobem ta noc przeszła równie spokojnie jak wszystkie inne. Ich podziwienie, do którego łączyło się trochę wstydu z powodu że przedstawili się w śmiesznéj trochę roli, swym podwładnym, zwiększało się z każdą minutą do samego rana. A kiedy dowiedzieli się że celem napaści był Hall, a o pałacu nigdy nie myślano, zadziwienie to zamieniło się w rodzaj osłupienia.

Powiedziano im że Lydney tam był, że go poznano.

„Nędznik! zawołał lord Dane, wyobraził sobie zapewne że kazałem tam przenieść pokryjomu jego szkatułkę, i urządził tę wyprawę aby ją wykraść; bo nie przypuszczam aby chciał porwać miss Lester.

Pan Lester był także bardzo zakłopotany i nie wiedział co ma myśléć o nocnym napadzie. Obudzony nagle hukiem wystrzału, wybiegł ze swego pokoju i zastał Tiffle wrzeszczącą na schodach. Dowiedział się od niéj że widziała w przedpokoju czterech zbójców, że trzech z nich mieli twarze poczernione, a czwarty całkiem odsłoniętą, i że to był pan Lydney.

Wkrótce zbiegli się wszyscy służący, i pan Lester obszedł wraz z nimi cały dom. Wszystko było w porządku, każda rzecz znajdowała się na swojém miejscu, i gdyby nie szyba stłuczona, możnaby sądzić że pannie Tiffle przyśnili się jacyś zbójcy. Że kradzież nie była celem téj napaści, o tém pan Lester nie mógł nawet wątpić, ale w takim razie pocóż ci ludzie wdarli się do jego domu w nocy? Co znaczył ten zbrodniczy zamach? Co znaczył ten wystrzał? Squir Lester zadawał sobie te wszystkie pytania z głębokiém zadziwieniem.

Lord Dane, pomimo deszczu, jeszcze tegoż samego rana udał się do Danesheld-Hall, i zapytał o wszystkie szczegóły tego dziwnego wypadku, o ile przynajmniéj były znane panu Lester. Sam, nie wspomiał nic o Lydney'u, ani też o jego mniemanym zamiarze zakradnięcia się do zamku, o czém zresztą nie wypadało mu teraz mówić, skoro pierwéj nie wspomniał nic o tém panu Lester.

Pan Blair ze swéj strony, mówił długo o téj sprawie z inspektorem Bent, który przy pierwszych zaraz słowach wstrząsnął z powątpiewaniem głową, i nie chciał wcale uwierzyć aby Lydney miał w tém jakiś udział. Widział go, rozmawiał z nim parę godzin temu. Pan Blair nie objawił wcale swego zdania. Prawdę mówiąc, szanowny *detektiw* nie lepiéj tę rzecz rozumiał od pana Lester lub lorda Dane. Na wyraźne żądanie lorda, postanowiono nie wspominać jeszcze nic o zamierzonym napadzie na pałac, i o nocy strawionéj w nim bezsennie, w gorączkowém oszukiwaniu. Nie dozwolił także aresztować trzech winowajców, a ponieważ był lordem namiestnikiem hrabstwa, trzeba było zastosować się do jego woli; co zresztą nie pociągnęło za sobą żadnéj szkody, bo kiedy policya dla własnéj satysfakcyi zaczęła śledzić tych panów. dowiedziała się ze zniknęli tegoż samego rana. Lord Dane byłby ich chętnie ułaskawił, byleby w zamian za to powieszono Lydney'a.

Adwokat Apperly nie dotrzymał słowa, i choć nadszedł poniedziałek nie pokazał się w swéj kancelaryi. Pan Lydney nie ukrywał wcale swego niezadowolnienia, stosownie do wyrażenia młodego Crofts'a, kręcił się ciągle koło jego bióra jak pies koło pieczeni.

Po południu odbyło się w Danesheld-Hall posiedzenie. Pan James, jako zastępca czasowy adwokata Apperly, został zawezwany do odebrania zeznania od Elizy Tiffle.

Lord Dane który znajdował się w Hall, wraz ze swym przyjacielem bankierem z Londynu, w chwili kiedy tam przybył pan James, został uproszonym przez pana Lester, aby się nie oddalał przed odebraniem zeznania. Squir uwiadomił także inspektora Bent że jego obecność może być potrzebną. Pan Bent przybył wkrótce towarzyszył mu William Lydney. Pan Lester zaczerwienił się z gniewu.

„Sądziłem że jego obecność może tu być równie potrzebną jak moja, i prosiłem aby przyszedł ze mną, rzekł Bent półgłosem. Każdy posądzony ma prawo wiedzieć o co go posądzają. A prócz tego mam jeszcze inne powody.

Squir Lester był więc zmuszony zezwolić na obecność Lydney'a, chociaż mu się zdawało że pan Bent postąpił nie właściwie, i sprzecznie z tém jak on postąpić zamierzał.

Co do Lydney'a, ten był równie niepodobnym do człowieka dopuszczającego się kradzieży jak sam lord Dane. Nikt nie mógłby być spokojniejszym, więcéj panem siebie, miéć szlachetniejszych ruchów i obejścia. To też pan Blair, który siedząc w kącie zwracał pilną uwagę na najdrobniejsze nawet szczegóły—choć na pozór zdawało się że go to nic nie obchodzi — patrzył na niego z pewnym rodzajem zadziwienia.

Lady Adelajda znajdowała się także w pokoju. Rozdrażniona i przerażona nocnym napadem, chciała koniecznie poznać jego powody, i uważała że ma nie mniejsze od innych prawo być obecną przy zeznaniu Elizy Tiffle. Squir Lester napomknął wprawdzie że może byłoby lepiéj gdyby się oddaliła, ale odmówiła stanowczo. Marya siedziała niedaleko niéj, i tak lady Adelajda jak ojciec nie spuszczali z niéj prawie oczu, pomimo że zwykle nie wiele na nią zwracali uwagi. Pochylona nad robótką, zaledwie zdolna utrzymać igiełkę w drżących palcach, sądziła że lada chwila zemdleje. Biedne dziewczę, wypadki téj nocy naprowadzały ją na różne domysły, tak straszne, tak bolesne, że ją napełniały przerażeniem.

Lady Adelajda, oparta wygodnie w fotelu, zamieniała niekiedy kilka słów z lordem Dane, nie spuszczając z oczu pasierbicy. Pan James siedząc przy stole notował starannie wszystko co tylko zwróciło jego uwagę.

Tiffle weszła drepcząc i dygając na wszystkie strony. Przez cały czas swego zeznania, zacierała bez przerwy ręce.

„Wczoraj, dość już późno wieczorem, udałam się do mego pokoju, rzekła zwracając się szczególniéj do swego pana, ale nie mogłam zasnąć. Czém usilniéj zamykałam oczy aby zmusić się do snu, tém bardziéj—jakby na złość—otwierały mi się powieki. Trochę po pierwszéj, zdawało mi się że słyszę jakiś szmer w dolnych pokojach, nieco późniéj powtórzyło się to drugi raz; usiadłam wtenczas na łóżku i przysłuchiwałam się pilnie przez kilka minut. Wszędzie było tak cicho że byłam pewna iż mi się tylko zdawało że coś słyszałam, i położyłam się napowrót. We dwadzieścia minut późniéj przestraszyłam się znowu; jeżeli teraz, pomyślałam, nie słyszę jakichś głosów, to już chyba nigdy ich nie słyszałam. A! gdyby pan wiedział co się wtenczas ze mną działo! Myślałam z początku że to służący wychodzą pokryjomu na jakąś pohulankę; o! bo ja ich krótko trzymam, i wiem że są najszczęśliwsi jeżeli mi mogą wypłatać jakiegoś figla, lub podejść mòją czujność; wyskoczyłam więc z łóżka, wybiegłam cichutko na schody i przechyliłam się przez balustradę, chcąc zajrzéć do przedpokoju. Myślałem że zemdleję, że umrę, że...

— Mniejsza o takie szczegóły, przerwał pan James; cóżeś tam zobaczyła?

— Co tam zobaczyłam, panowie! Zobaczyłam trzech strasznych złodziei, z poczernionemi twarzami potém rozległ się wystrzał z pistoletu, który oślepił mnie na chwilę. Najpierwszą rzeczą którą dostrzegłam przejrzawszy, był czwarty złodziej uciekający przez drzwi wychodzące na ogród, a przynajmniéj widziałam połę jego sukni. Nikt nie mógł być bliższym zemdlenia, jak wówczas wasza pokorna sługa, panowie, ale zebrałam wszystkie siły; nie chciałem zemdléć pomyślałam o téj biednéj rodzinie którą ja tylko uratować mogłam, i to dodało mi odwagi. Przechyliłam znów głowę, i zobaczyłam znów mężczyznę, który jak szalony wpadł do przedpokoju, był to zapewne ten sam który wybiegł przed chwilą, bardzo mi przykro że to powiedzieć muszę—tym człowiekiem był pan Lydney.

Chwilowe milczenie.

— Cóż daléj? zapytał z żywością lord Dane.

— Nic już więcéj, milordzie, wyjąwszy że pan Lydney rozmawiał chwilkę z innymi, a po tém wynieśli się wszyscy uciekając na wyścigi, ale jeden z nich zgasił pierwéj świecę. Wszystko to nie trwało więcéj nad parę minut.

William Lydney spojrzał na Maryę; upuściła robótkę na kolana, i zdawała się słuchać z najgłębszą uwagą opowiadania Tifflle. Uśmiechnął się do niéj łagodnie.

— Słyszałeś pan? zawołał squir niecierpliwie.

— Słyszałem.

— I nie masz nic do powiedzenia na swoją obronę?

— Przysięgam że to był on! odezwała się Tiffle, zanim zdołał odpowiedziéć. Jeżeli temu zaprzeczy to skłamie. Widziałam go równie dobrze jak w téj chwili. Nie poznałam innych bo byli pozasłaniani czémś czarném, ale on miał twarz odkrytą.

— Rzeczywiście, panie Lester, wszedłem dziś w nocy do twego domu, ale raz tylko, odezwał się Lydney spokojnie; jeżeli więc ktoś rzeczywiście wyszedł z niego przed mojém przybyciem, jak to utrzymuje pana służąca, to nie ja z pewnością.

Wszyscy spojrzeli na niego z zadziwieniem. Nie sądzono aby przyznał się tak łatwo. Pan James uśmiechnął się ironicznie.

— Przechodziłem właśnie koło Hall, mówił daléj Lydney, kiedy wewnątrz domu rozległ się wystrzał, zobaczyłem że drzwi wchodowe są otwarte, i nie namyślając się wbiegłem do sieni, zastałem tam trzech ludzi zabierających się do ucieczki. Nie miałem innego zamiaru jak biedz na ratunek... przekonać się czy pomoc moja nie będzie potrzebną.

— Jeżeli pan nie znajdziesz prawdopodobniejszego wytłomaczenia, to nie mogę panu powinszować, odezwał się ostro pan Lester. Czy nie możesz pan znaleźć coś wiarogodniejszego na swoje usprawiedliwienie?

— Proszę pana o pięć minut rozmowy na osobności. Mogę zaręczyć, że to co powiem na moje usprawiedliwienie zupełnie pana zadowolni, panie Lester.

Squir odrzucił z oburzeniem podobne żądanie. Nie miał zwyczaju zezwalać na poufną rozmowę z podobnymi ludźmi. Jeżeli ma co wyznać to niech wyzna głośno. Nie potrzebujemy półwyznań, dodał. Jeżeli pan nie powiesz publicznie dla czego tak późno w nocy znajdowałeś się przed moim domem, i czemu wszedłszy już do niego nie ostrzegłeś mnie natychmiast, to już będę wiedział co mam o tém myśléć. Powiedz pan wszystko, bez przemilczeń w obec lorda Dane i tych panów, albo nie mów nic.

— Jeżeli tak... to sądzę... że najlepiéj będzie jeżeli nic nie powiem, odpowiedział Lydney wahająco jakby się namyślał. Tak; jak na teraz, lepiéj milczéć... Powtarzam tylko że nie mam sobie nic do zarzucania.

Lord Dane zbliżył się do niego.

— Utrzymywałeś, mój panie, że jesteś gentlemanem! rzekł z wyrazem gorzkiego szyderstwa, które rozdrażniło Lydney'a.

— Jestem co najmniéj równie dobrym szlachcicem, jak Wasza Wielmożność, odpowiedział patrząc mu śmiało w oczy, a gdybyśmy zaczęli przedstawiać nasze tytuły i godności, kto wie czy pierwszeństwo nie byłoby po mojej stronie.

Lord Dan odpowiedział tylko pogardliwym uśmiechem na tak zuchwałe przechwałki, a inni patrzyli na Lydney'a ze zdumieniem graniczącém z osłupieniem. Nie podobno już było wątpić że to człowiek bardzo niebezpieczny.

Pan Lester tymczasem dyktował panu James rozkaz aresztowania Williama Lydney, obwinionego o gwałtowny napad w nocy na Danesheld-Hall.

„Z przykrością wydaję ten rozkaz, skoro pan utrzymujesz że jesteś niewinnym, odezwał się pan Lester szydersko. Jutro odbędzie się urzędowe śledztwo w sądzie; do tego czasu musisz pan przesiedzieć w więzieniu.

— W więzieniu! gdzie? zawołał cofając się Lydney.

— Pan Bent zaopiekuje się panem; jest w gmachu policyjnym sala dla oskarżonych, odpowiedział squir z największą grzecznością.

— Wybacz, panie Lester, ale to już żart za daleko posunięty. Nie możesz pan przypuszczać naprawdę że chciałem zrabować dom pana.

— W każdym razie nie dowiodłeś pan jeszcze że nie miałeś tego zamiaru. Panie Bent więzień odtąd pozostaje pod twoją strażą.

— Ale panie Lester...

— Dość tego, mój panie, nie chcę już słuchać więcéj.

Pan Lydney zamilkł, nie przez posłuszeństwo dla pana Lester, lecz przez szacunek dla samego siebie. Zresztą zastanowił się że nie może nic powiedzieć na swoją obronę, nie zdradzając Wilfrida Lester.

— Przyjmiesz pan przynajmniéj poręczenie, odezwał się po chwili.

— Nie, odpowiedział spokojnie pan Lester. Skończyliśmy już panie Bent.

Squir dał tym sposobem do zrozumienia inspektorowi, że czas już aby odszedł i uprowadził z sobą więźnia. Lecz ten zwrócił się nagle do lady Adelajdy i miss Lester.

„Okoliczności, rzekł, zdają się oskarżać mnie, ale zechciejcie panie wierzyć że jedynie ważne a wcale nienaganne powody nie dozwalają mi się usprawiedliwić. Niedługo już wszystko się wyjaśni.... Tymczasem proszę nie powątpiewać o mnie.

Mówił do obydwóch razem, ale Marya zrozumiała że te ostatnie słowa do niéj tylko były zwrócone, i spojrzała niego z wyrazem niewzruszonéj ufności.

— Jestem gotów, panie Bent. Nie potrzebujesz pan przedsiębrać żadnych środków zabezpieczających, pójdę z panem bez najmniejszego oporu.

Wyszli razem obok siebie, pośród lodowatego milczenia. Oskarżyciele zdawali się mniéj swobodnymi od oskarżonego. Lady Adelajda podniosła głowę jakby nagle ocknęła się z jakiegoś marzenia.

„On mnie przestraszał zawołała.

— Kto cię przestrasza, lady Adelajdo? zapytał lord Dane.

— Ten młody człowiek, Lydney. Kiedy stanął przed tobą, milordzie, i zwrócił na ciebie to spojrzenie tak dumne a zarazem tak spokojne, był do tego stopnia podobnym do Dane'ów że aż zadrżałam z przerażenia. Była to zupełnie postawa lorda Dane... przypominał także i Harrego, ale już nie tak bardzo.

— On sam jeden ma więcéj pewności siebie jak wszyscy Dane'owie razem! odpowiedział lord Dane. Czy kto słyszał o podobném zuchwalstwie? poważył się zwrócić wyłącznie do ciebie, lady Adelajdo, i do miss Lester. Nie wiem co mnie od tego wstrzymało że nie dałem mu policz .

Pan James po powrocie do kancelaryi zastał miłą niespodziankę; adwokat Apperly wrócił już od godziny, i wiadomość o tém rozeszła się już po Danesheldzie. Pan James zdając mu sprawę z najpilniejszych interesów, nie pominął także jak łatwo domyśléć się tego, opowieści o dawniejszych niego dziwościach Lydney'a, i szczegółowego opisu wypadków zeszłéj nocy.

Rozmowę przerwała nagle pani Ravensbird, która ze zwykłą sobie śmiałością i nie zważając na przedstawienia pana Crofts, utrzymującego że jego zwierzchnicy są zbyt zajęci ważnemi interesami, aby mogła obecnie widzieć się z nimi, otworzyła drzwi do gabinetu i weszła bez ceremonii. Zastała ich śmiejących się i żartujących wesoło.

„Domyśliłam się tego!..... Otóż to są ważne interesa! Śmiechy, plotki i nic więcéj!.... Panie Apperly, proszę wziąść kapelusz, pójdziesz pan ze mną, jeżeli łaska.

— Czy jesteś pani tego pewną? zapytał adwokat, który lubił sprzeciwiać się pani Ravensbird, przy każdéj zdarzonéj sposobności. Jestem dziś zbyt zajęty, kochana pani.

— Ale ja przyszłam tu umyślnie po pana, zawołała Zofia tupiąc nogą; od dnia wyjazdu pana, ten gentleman, nasz lokator, oczekuje pana jak Messyasza, a teraz kiedy już dowiedział się o pana powrocie, nie chce już czekać ani minuty. Jest bardzo chory, a prócz tego tak gniewliwy, że mógłby dostać ataku apopleksyi.

— Czegóż on chce odemnie?... czy zamyśla zrobić testament? Nie mogę po takim deszczu pójść do niego, rzekł z uśmiechem pan Apperly.

— Pójdziesz pan choćby i grad padał odezwała się Zofia tak stanowczym tonem, że to aż zastanowiło pana Apperly; idzie tu o coś ważniejszego jak pan sądzi, i ani odmówić ani wahać się nie można. O pierwszéj godzinie dowiedział się o powrocie pana, a już przed dwoma godzinami posłał pana Lydney aby się zapytał czy pan jesteś w kancelaryi.

— Pana Lydneya! ha! ha! ha! to wyborne! Biedny młodzieniec ma dość kłopotu z własnemi interesami. Właśnie po południu pan Bent poprowadził go do więzienia w gmachu policyjnym.

— Pan Bent zaprowadził pana Lydney do więzienia? Co za... dziwne żarty.

— To nie żarty, łaskawa pani. Lydney należał do bandy która zeszłéj nocy napadła na dom squira Lester, i za to właśnie został uwięzionym.

Pani Ravensbird zawróciła się i wyszła, wydając okrzyki gniewu połączonego z zadziwieniem, i pobiegła do *Gospody Marynarzy*, nie zważając na deszcz ulewny. Pan Apperly pośpieszył za nią z parasolem w ręku.

Marya Lester domyśliła się że brat jéj wziął udział w wypadkach téj nocy, a William Lydney, wierny swéj obietnicy, sam się poświęcał aby go ocalić. Nie rozumiała jednak co mogło skłonić Wilfrida do podobnego czynu, ale jakkolwiek obawa jéj nie miała pewnéj podstawy, dręczyła ją przecież niewymownie.

Wyszła z Hall o zmierzchu, kiedy to najmniéj zwracało uwagi, i pobiegła prosto do brata. Zanim tam doszła deszcz ustał i niebo wypogodziło się zupełnie.

Edyta siedziała sama tylko przed kominkiem w saloniku. Płomień twarz jéj oświecał; nie była już tak bardzo mizerną jak dawniéj. Marya spojrzała niespokojnie w koło.

„Gdzie jest Wilfrid? zapytała.

— Pojechał do Grande-Croix.

— Do Grandé Croix! powtórzyła Marya. Chciałam z nim pomówić.

— O! wróci niedługo; może zabawisz u mnie chwilkę, Maryo? Odpocznij trochę.

— Jaki suty ogień, Edyto, odezwała się Marya z widocznem roztargnieniem, siadając obok bratowéj.

— Jakim sposobem Sally zaopatruje nas w węgle — tego pojąć nie mogę, rzekła Edyta, kładzie ich tyle na kominek jakby rozporządzała całą kopalnią, napróżno zwracam na to jéj uwagę, nie chce mnie słuchać. Znasz Sally, a więc wiesz jaka to trudna z nią sprawa. Nie rozumiem także zkąd bierze na to wszystko co zakupuje do domu; Wilfrid tak mało dać może. Nie raz przychodzi mi na myśl że ciotka Małgorzata przychodzi nam w pomoc, ale z drugiéj znów strony wiem że sama tak szczupłe ma dochody.

— Po co Wilfrid pojechał do Grande-Croix? zapytała Marya niezdolna mówić i myśléć o czém innem.

— Mówił mi że potrzebuje zasięgnąć w pewnym interesie rady adwokata. Był w jakiémś dziwném, nie zwykłém usposobieniu, i mówił mi że niedługo

będziemy bogaci, ale tak niezrozumiale że go zrozumiéć nie mogłam. Zresztą już od samego rana był niespokojny czy rozdrażniony, zdaje mi się że nie jest zupełnie zdrów. Jeżeli usłyszał najlżejszy szmer biegł do okna i odchylając ostrożnie firankę wyglądał na drogę. Dwa razy nawet zaryglował drzwi wchodowe, i oparł się o nie plecami jakby nie chciał kogoś wpuścić do domu. Zaniepokojona tém jego gorączkowém usposobieniem, dopytywałam się co mu jest, czego się obawia, ale odpowiadał m tylko: bądź spokojna, będzie nam teraz lepiéj.

Biedna Marya nie potrzebowała już pytać o nic więcéj; to co usłyszała potwierdzało jéj zmysły.

— Sally dziś także w jakimś dziwnym humorze Jeżeli ktoś zadzwonił, to zamiast mu otworzyć odpowiadała tylko przez okno; Wilfridowi odpowiadała cierpko, opryskliwie, co sprawiało mi przykrość bo kiedy jest słaby, to czegoż mu jeszcze dokucz-

— Może Wilfrid źle spał dziś wnocy, i to jest powodem jego rozdrażnienia, powiedziała Marya dziwiąc się że bratowa nie wspomina nic o tém co zaszło w domu pana Lester. Czy położył się wcześnie?

— O! tego nie wiem. O dziewiątéj byłam już w moim pokoju, położyłam się, usnęłam natychmiast i spałam aż do rana. Sally cieszy się z tego bardzo powiada że sen doda mi siły.

Marya czuła że jéj niepodobna pozostawać dłużéj w tak strasznéj niepewności. Pożegnała Edytę, ale zamiast wyjść z kotażu, weszła do kuchni chcąc dowiedzieć się czegoś pewniejszego od Sally.

„Pani Lester zdaje się trochę zdrowsza; rzekła do niéj.

— Ha! mruknęła Sally, byłaby z pewnością zdrowsza, gdyby nie ten ciągły niepokój.

— Gdzie jest mój brat? zapytała Marya, nie pewna czy może wierzyć w jego wyjazd do Grande-Croix.

W głosie jéj czuć było taki smutek i niepokój, iż Sally odgadła że domyśla się prawdy.

„Jeżeli nie zdołamy go powstrzymać to zgubi nas wszystkich, zawołała. To szaleniec... zupełny szaleniec; jeżeli nie wyjedzie natychmiast z Danesheldu, to...

— Ah! Sally, nie ukrywaj nic przedemną, zawołała Marya. Niepodobna mi znieść dłużéj tak strasznéj niepewności. Czy Wilfrid wychodził z domu dziś w nocy?

— Tak, wychodził, miss Lester, ale nie powie działabym tego gdybym nie czuła iż trzeba aby ktoś nareszcie dowiedział się prawdy, i starał się zaradzić złemu. Patrzyłam przez szpary na to że wykradał lordowi Dane zwierzynę, powiedziałam o tém jednéj tylko miss Bordillion, ale na nic się to się nie zdało; a teraz stan rzeczy pogorszył się jeszcze. Wyszedł wczoraj kiedy poszłam na górę rozebrać miss Edytę, bo biedaczka jest jeszcze bardzo osłabiona. Zszedłszy po dziewiątéj na dół, już go nie zastałam. Czekałam tu w kuchni, drżąc z zimna, bo już nie było ani iskierki ognia, aż do drugiéj w nocy, wrócił z panem Lydney. Dziś rano spojrzałam tylko na kapelusz pana Wilfrida, i wiedziałam już gdzie był... skoro mi powiedziano co się stało téj nocy.

— Jego kapelusz.

— Tak, ten stary kapelusz z szerokiém rondem, który nosił dawniéj. Przypiął do niego wewnątrz koło główki kawałek czarnéj krepy. Oderwał go wprawdzie przed powrotem, ale w jedném miejscu został jeszcze kawałeczek krepy przypięty szpilką.

Marya ukryła twarz w dłoniach i zalała się łzami. Więc do tego już doszedł Wilfrid, jéj brat ukochany, ten brat dla którego poświęciłaby chętnie życie!

— Wyjęłam szpilkę i spaliłam ten przeklęty strzępek krepy, mówiła daléj Sally, ah! przysięgam że nie wiem jakim sposobem przeżyłam dzień dzisiejszy. Zdawało mi się że padnę trupem za każdém odezwaniem się dzwonka, sądząc że to przychodzi policya aby go aresztować. Gdy do tego przyszło, moja biedna pani umarłaby z rozpaczy i wstydu; tak miss Lester, nie przeżyłaby nawet tygodnia!... dotąd nie wie jeszcze o niczém.

— Czy rzeczywiście pojechał do Grande-Croix?

— Bardzo to być może. Nie śmiałby się dziś pokazać w Danesheldzie; przez cały dzień drżał z obawy.

— Dla czego pan Lydney wrócił z nim dziś razem? zapytała Marya z pewném wahaniem.

Sally roześmiała się szydersko.

— I zaaresztowali go, jak to słyszałam, jako wspólnika napaści na Hall! Głupcy! Jak mogą nie wiedziéć tego że pan Lydney nie byłby zdolnym uczynić nic podobnego. Mogłabym im powiedziéć bardzo wiele rzeczy, gdybym tylko chciała. Jakiż to zacny młodzieniec! On aż do dzisiejszego dnia był aniołem stróżem mego pana, czuwał nad nim w dzień i w nocy aby odwracać go od złego... czuwał nawet i wczoraj, ale na nieszczęście zbyt późno dowiedział się o co idzie. Tak, pan Lydney wszedł do Hall, dodała z pewną przesadą, jakby przemawiała do licznych słuchaczy, ale dla tego aby ztamtąd wyprowadzić mego pana.

— Przyrzekł mi że będzie czuwał nad nim, rzekła Marya.

— I dotrzymał obietnicy. A! gdyby wszystko było wiadomém, przekonanoby się że mało jest ludzi zdolnych do tak szlachetnych czynów, do takiego poświęcenia, zawołała Sally z uniesieniem. Ale na cóż się to zdało? W piękném znajdujemy się położeniu.

— Co teraz czynić, Sally? Wszak pojmujesz to sama że pan Lydney nie może cierpiéć za niego.

— Albożja wiem co czynić? Odkąd dowiedziałam się o jego aresztowaniu, odchodzę prawie od zmysłów: to stary Gand powiedział mi o tém. Jest tak szlachetnym że będzie wolał siedziéć w więzieniu nie wydać twego brata, miss Lester, ale i pan Willrid także nie jest pozbawionym szlachetności, i wszystko mi się zdaje że skoro za powrotem dowie się jak rzeczy stoją, pobiegnie do bióra policyi, i wyzna prawdę, aby pana Lydney wypuszczono na wolność! A! teraz dopiero poznaję jak byłam szaloną.

— Szaloną?

— Tak, miss Lester, szaloną. Wszakże zachęcałam ich aby się pobrali, zapewniałam że będę u nich służyć zawsze i pracować tak gorliwie jakbym miała cztery ręce. Słowem stanęłam po ich stronie, oburzona okrucieństwem pana Lester i jego żony, bo kochałam pana Wilfrida jak moje własne dziecko! A! mam tylko to na co zasłużyłam! ale nie sądziłam nigdy aby mógł dojść do tego!...

— Czy nie wiesz, Sally, po co brat mój wszedł do Hall? co go do tego spowodowało?

— Nie wiem, ale trzeba przypuścić że chciał zabrać srebra.... Kiedy szlachcic raz zejdzie na złą drogę, to brnie co raz daléj i nic go już nie zatrzyma.

Zdawało się że wszystko stracone, że nie było już ratunku. Marya wracała do Danesheld-Hall z sercem przepełnioném boleścią. Ciemno już było. Biedna Marya zatrzymywała się co krok przerażona, drżąca. Zdawało jéj się że za każdym krzakiem za każdém drzewem stoi ktoś zaczajony, że ajenci policyjni czatują na jéj brata, aby go schwytać skoro powróci. William Lydney został aresztowanym kilka godzin temu, i może dowiedziano się już prawdy.

Kiedy Marya dochodziła do domu, służący otworzył drzwi panu Lester który wychodził śpiesznie nadzwyczaj wzburzony. Marya nie widziała go jeszcze nigdy tak rozgniewanym, wyjąwszy w tym dniu gdy wypędził od siebie pana Lydney.

„Wypuszczać na wolność człowieka którego kazałem uwięzić za najście mego własnego domu! krzyczał oburzony. Jak Bent mógł ośmielić się na to? Muszą go napowrót przyprowadzić skrępowanego do więzienia!

Przebiegł około Maryi nie spostrzegłszy jéj nawet.

— Cóż się to stało? zapytała służącego.

— Ktoś powiedział że wypuszczono na wolność tego pana.. tego Lydney'a! I pan poszedł ażeby jeżeli tak jest w istocie, kazać napowrót wsadzić go do więzienia. Tak pan mój jak milord powiedzieli Bent'owi że nie chcą nawet słyszéć o kaucyi lub poręczeniu.

Marya przestraszona pobiegła za ojcem.

Pan Lester słysząc za sobą czyjeś kroki, odwrócił się i stanął nagle zobaczywszy córkę bladą, i wyciągającą do niego błagalnie ręce.

„Ojcze, ojcze! zawołała zaledwie wiedząc co mówi i co ma powiedziéć, nie popieraj daléj téj nieszczęsnéj sprawy.

— Uwolnić Lydney'a, niepopierać téj sprawy! powtórzył pan Lester patrząc bystro na córkę, co ty mówisz?

— On jest niewinnym, mój ojcze. Posądzają go niesłusznie.

— Na czémże to opierasz tę pewność? Jakie masz na to dowody?, zapytał ironicznie pan Lester.

— Nie... nie mogę przytoczyć żadnych, odpowiedziała zmieszana, ale jestem o tém najsilniéj przekonana.

— Jesteś tylko szalona! zawołał pan Lester. Jak nie wstydzisz się wymawiać nawet nazwisko tego człowieka. Będę go ścigał... aż do śmierci!

— O! nie! nie! mój ojcze! zawołała ze łzami chwytając go za rękę, nie czyń tego! Błagam cię zaniechaj téj sprawy, nie wiesz na co sam się narażasz, nie wiesz jak straszna tajemnica mogłaby być wyjawioną. Czy nigdy nie przyszło ci na myśl mój ojcze, że ktoś inny jeszcze prócz pana Lydney może być skompromitowanym, zgubionym?

— Jakto? co ty mówisz? zapytał, więcéj jeszcze zatrwożony wzruszeniem Maryi niż jéj słowami. Czy straciłaś zmysły?

— A! nie mam odwagi powiedziéć... Nie, nie mam, ale ojcze, jeżeli ci idzie o twój własny honor, o twoje własne szczęście, nie rozmazuj téj nieszczęsnéj sprawy!...

Po tych słowach uciekła do domu płacząc. Pan Lester patrzył za nią z gniewem i niepokojem. Bolesne podejrzenie zrodziło się w jego umyśle: więc to prawda że jego córka pokochała tego Lydney'a—tego nędznika. Nie przyszło mu nawet na myśl aby mogła obawiać się o kogoś innego, lub żeby syn jego, Wilfrid, mógł miéć jakiś udział w wypadkach zeszłéj nocy.

Rozdział XIII.

Żywy nieboszczyk.

W *Gospodzie Marynarzy*, *w pokoju chorego*, jak teraz nazywano salonik zajmowany przez chorego

cudzoziemca, pan Home siedział na kanapie i zdawał się oczekiwać na coś niecierpliwie. Widocznie nie był przyzwyczajonym do tego aby mu się opierano lub sprzeciwiano, i nie przypuszczał aby ktoś mógł nie spełnić jego rozkazów. Oczekiwał z gorączkową niecierpliwością powrotu pana Apperly, a gdy nakoniec dowiedział się że adwokat wrócił, żądał aby natychmiast przybył do niego.

Pan Apperly przyszedł wreszcie, i pani Ravensbird, którą spotkał wchodzącą na schody, zaprowadziła go do pokoju chorego, nie mówiąc już ani słowa. Otworzyła mu drzwi ale nie weszła za nim.

Ravensbird stał przy kanapie na której leżał chory. Obydwaj byli odwróceni od drzwi wchodowych.

Adwokat zawezwany tak nagląco do człowieka złożonego chorobą, był przekonanym że idzie o napisanie testamentu; zbliżył się więc do kanapy mówiąc:

„Z prawdziwą przykrością dowiedziałem się że pan jesteś tak bardzo cierpiącym, panie... panie Home, jak mi się zdaje.

Chory podniósł głowę i spojrzał na pana Apperly. Twarz jego była szlachetna i dumna, pomimo że cierpienie złagodziło poniekąd jéj wyraz, oczy rzucały głębokie spojrzenie, a głowę pokrywały srebrzyste włosy. Był to piękny jeszcze mężczyzna. Pan Apperly patrzył na niego przez chwilę, i cofnął się zadziwiony, czyli raczéj przerażony.

„O nieba! wyszeptał ocierając czoło, to... to... czy to być może? to kapitan Harry Dane! kapitan Harry Dane żywy!

— Nie, panie, to nie kapitan Dane. Jestem lordem Dane i byłem nim już od chwili śmierci mojego ojca.

Adwokat był widocznie zmieszany, wyraźnie nie wiedział co ma o tém myśléć. Spoglądał kolejno to na chorego to na Ravensbird'a, jakby zadawał im pytanie.

— Czy to sen? zapytał nakoniec.

— Nie, to rzeczywistość, odpowiedział Ravensbird. To mój pan ukochany, i pan całego Danesheldu. Dumny jestem z tego że mnie zaszczycił swoją ufnością, i dozwolił mi się poznać zaraz na drugi dzień po rozbiciu statku.

Był to rzeczywiście Harry Dane... Harry Dane który nie zabił się spadając ze skały, następnie zaś przebywał w Ameryce i podróżował ciągle, nie domyślając się nawet że brat jego Godfred nie został spadkobiercą godności i tytułów ich ojca, oraz panem starego zamku.

„Jakto! ale... ale... wszyscy są pewni że jesteś pochowany w grobach Danesheldu. Panie... milordzie! zawołał Apperly, jeżeli jesteś rzeczywiście lordem Dane... czémże on jest w takim razie... ten drugi lord Dane w pałacu?

— Jeżeli jestem rzeczywiście lordem Dane! odrzekł chory: co przez to rozumiesz panie Apperly? Alboż nie jestem synem mojego ojca?

— Tak, tak, bez wątpienia, ale tak nagła zmiana odurzyła mnie zupełnie... Nie mogę zebrać myśli. Więc nie zostałeś zabitym milordzie.... Ale, czémże on jest teraz, tamten z pałacu?

— Jeżeli zostałem zabitym, panie Apperly to następnie zmartwychwstałem, jak to sam widzisz, odpowiedział żartobliwie lord Dane. Co zaś do „tamtego z pałacu“ jak go nazywasz, jest po prostu Herbertem Dane, i nie miał nigdy prawa być czém innym. Bardzo to pojmuję że nie będzie mu przyjemnie usunąć się z tak miłego i wygodnego stanowiska jakie zajmuje obecnie, ale będzie musiał pogodzić się ze swym losem. Teraz chciałbym wiedziéć,..

— Jakim sposobem zostałeś uratowanym, milordzie? przerwał adwokat.

— Wyratował mnie pułkownik Moneton, zabrał mnie na swój yacht i zawiózł do Ameryki, i aż do chwili kiedy burza wyrzuciła mnie na te brzegi, nie wiedziałem nic o śmierci mego brata Godfreda. a zatém że jestem jedynym spadkobiercą majątku i godności moich przodków. Ale jak na teraz dosyć już tych objaśnień, panie Apperly; czas już, wielki czas, zająć się interesami. Najprzód, powiedz mi czy staniesz po mojéj stronie czy po stronie Herberta Dane, jeżeli nie będziemy mogli porozumiéć się z sobą, jeżeli wynikną jakieś trudności?

— Nie możesz miéć żadnych trudności milordzie co do odzyskania praw swoich. Lord Dane, chciałem powiedziéć, pan Herbert, nie może nawet myśléć o współzawodnictwie z panem.

— A jeżeli tu nie idzie o moje prawa?.., Proszę cię, Apperly, odpowiedz jasno i wyraźnie na moje pytanie, i pamiętaj że każda minuta czasu jest dla mnie bardzo drogą. Czy zamyślasz działać jako mój prawny doradzca, czy też w interesie tego którego nazywasz jeszcze lordem Dane?

— Czy może zachodzić co do tego jakaś wątpliwość, milordzie? Stanę po stronie Waszéj Wielmożności; jest to mój obowiązek, a zresztą z lordem... z panem Herbertem nie byłem nigdy... czyli raczéj on nie był ze mną nigdy bardzo serdecznie. Co więcéj, zasięga głównie rady prawnéj od pana Lester.

— Wybornie. Gdybyś był powziął inne postanowienie, mógłbym miéć niejakie trudności w pokierowaniu rzeczy tak jak zamierzyłem... Trzebaby koniecznie, panie Apperly, znaleźć tę szkatułkę.

— Szkatułkę Lydney'a! A! słyszałem że tu już wszystkich znudził i zmęczył tą swoją jakąś szkatułką.

— Czy tak!... Ta szkatułka należy do mnie.

— Doprawdy! zawołał zdziwiony pan Apperly. Teraz rozwiązana już zagadka co do owych pięciuset funtów! Wszyscy dotąd w Danesheldzie nie mogli pojąć jakim sposobem taki Lydney mógł je ofiarować.

— Co pan rozumiesz przez „taki Lydney“ zapytał surowo lord Dane.

— Milordzie, dawno już domyślano się czym on jest rzeczywiście—chociaż przypadek uczynił go towarzyszem podróży Waszéj Wielmożności—ale dziś położono już koniec jego sprawkom, wsadzając go do więzienia; Bent zaprowadził go tam osobiście.

— Pan Lydney w więzieniu! wykrzyknął Ravensbird, gdy lord Dane zwrócił tylko na adwokata surowe i pytające spojrzenie.

— Domyślano się już dawniéj, jak mi to powiedziano, że pozostawał w ciągłych stosunkach ze złodziejami zwierzyny, ale to co popełnił dzisiejszéj nocy jest bez porównania ważniejszém. On i trzech jeszcze ludzi z poczernionemi twarzami, wdarli się wczoraj do domu squira Lester, w chęci ukradnięcia sreber i innych kosztowności; szczęściem nie zdołali dokonać występnego zamiaru, przeszkodzono im i ratowali się ucieczką. Poznano tylko Lydney'a i ten obecnie znajduje się w więzieniu policyjném.

— Jak pan śmiesz czynić mu tak hańbiące zarzuty w mojéj obecności! zawołał lord Dane patrząc na niego pałającemi gniewem oczami; sam nie wiesz co mówisz, panie Apperly. Widzę że go nie znasz wcale.

— Osobiście nie znam, milordzie, i wiem o nim tyle tylko że nazywa się Lydney—jak przynajmniéj sam utrzymuje—ale cały Danesheld uważa go za awanturnika.

— A on będzie kiedyś panem tego Danesheldu, tak będzie, ja za to ręczę. Jest to mój jedyny spadkobierca, mój syn, i zostanie lordem Dane... wkrótce zapewne, bo zdaje mi się że dni moje już policzone.

— Dziwna, dziwna rzecz, odezwał się zdumiony adwokat... Mówił że się nazywa William Lydney.

— Powtarzam że to mój syn—Godfred William Lydney Dane. Godfred jest pierwsze jego imię, ale nazywaliśmy go zawsze Williamem: żona moja była r ancuzką i utrzymywała że jéj trudno wymówić Godfred. I powiadasz pan że jego uwięziono! O! przyprowadzę ja wszystko do ładu, rzekł lord Dane kładąc się na kanapie.

— Nie podpada wątpliwości że wszedł dziś w nocy do domu pana Lester, bo sam temu nie przeczy, odpowiedział zmieszany adwokat.

— W takim razie wszedł tam w jakimś uczciwym, szlachetnym zamiarze. Nie znam téj sprawy. syn mój nie wspominał mi nic o tém, ale mogę ręczyć za niego.

Co za głupota! oskarżać Williama Dane że napada w nocy na domy dla przywłaszczenia sobie cudzéj własności! Williama Dane, najlepszego, najzacniejszego z ludzi.. przyszłego para Anglii! To już zbyt bezrozumne aby rozgniewać mogło. Przejdźmy teraz do ważniejszych rzeczy, panie Apperly, i słuchaj mnie uważnie. Szkatułka o której mówią tyle w Danesheldzie, należała kiedyś do mojéj matki, lady Dane. Litery znajdujące się na wieku, są to pierwsze litery jéj imienia i rodzinnego nazwiska, Verena Vincent Verner. Matka moja, jak to przypominasz sobie zapewne, była siostrzenicą jenerała Vincent, który sobie życzył aby nosiła także jego nazwisko obok nazwiska ojca. Niepodobna wątpić że Herbert Dane poznał tę szkatułkę kiedy ją zobaczył nad brzegiem morza: widywał ją często dawnié, i wiedział że bratu mojéj matki przyszła ochota dodać nad literami krzy maltański. W czasie ostatniéj mojéj podróży do Anglii, nie miałem z sobą téj szkatułki, pozostawiłem ją w Kanadzie. Widocznie Herbert Dane poznał tę szkatułkę, i widok jéj wzbudził w nim jakiś nieokreślony przestrach, pod którego wpływem kazał zabrać szkatułkę do zamku. Może myślał że jego ofiara wystąpi nagle aby go oskarżyć.

— Jego ofiara! zawołał Apperly.

— Tak, jego ofiara. To on, Herbert Dane, strącił mnie ze skały, wprawdzie nierozmyślnie, prędzéj nawet pomimowolnie, ale pozwolił na to aby oskarżono mego wiernego sługę i przyjaciela, przy tych słowach podał rękę Ravensbird'owi, i byłby milczał choćby go nawet skazano, i tylko szczęśliwy zbieg okoliczności uwolnił go od niesłusznéj kary. Zresztą mniejsza o to jakie skłoniły go do tego powody, dość że zabrał szkatułkę i że ukrywa ją u siebie. Teraz, panie Apperly, idzie mi głównie o to, czy nie wiesz o jakich kryjówkach w zamku, w których możnaby schować przedmiot niewielki?

— Są takie, odrzekł stanowczo adwokat. Stary lord sam mi je pokazał. W małym gabineciku, obok sali pośmiertnéj. znajduje się sprężyna doskonale ukryta, za któréj przyciśnięciem usuwa się wązka ścianka, i odkrywa ciasny korytarzyk prowadzący do różnych kryjówek w murach.

(d. c. n.)

Opis do N. 11.

(*Dokończenie*).

Kokardy ze wstążki różowej 6 cent. szerokiej. Przedni brzeg czepeczka ogarnirowany dwa razy koronką, wśród której upięta róża z pączkami.



N. 3. Uczesanie głowy dla niemłodych dam.

N. 35—36. Ubranie wieczorowe z kirasowym stanikiem.

Suknia biała z grenadiny lub bareżu przybrana kolorową materyą i frendzlą jedwabną z nitką srebrną. Przy sukni ryc. 35 dana u dołu szeroka falbana, układana w odstępach w potrójne kontrafałdy po 6 cent. szerokie, nad którą nadgłówek stanowi wązkie plisowanie. Środkiem przedniego bryta przybranie z frendzli u góry 13 u dołu 20 cent. szerokie; szerokie plisy z kolorowej materyi naszyte poprzecznie na draperyi przedniej i brzegiem bryta stanowiącego upięcie z tyłu sukni. Baskina stanika wycięta w zęby objęte materyą. Suknia załączona na ryc. 36 różni się trochę zakończeniem draperyi i nie ma na niej szerokich plis jedwabnych.



N. 5. Stanik z długą baskiną i kamizelkowem ubraniem przodu.



N. 1. Kołnierzyk chusteczkowy. Przód.



N. 2. Kołnierzyk chusteczkowy. Plecy.



N. 7. Deseń na szmizetkę kamizelkową ryc. 15. Haft płaski i supełkowy.

N. 37. Ubranie balowe bez trenu.

Suknie do tańca sięgające tylko do ziemi modne i noszone przez paryżanki u nas jeszcze nie znalazły zwolenniczek; rycina 37 przedstawia taką suknię formą princesse z tarlatanu przerabianego srebrem i gładkiego. U dołu sukni falbana z gładkiego tarlatanu 40 cent. szeroka naszyta dwoma plisami przerabianemi srebrem, po 6 cent. szerokiemi i składana w płaskie fałdy po 4 cent. szerokie. Fałdowana poprzeczna draperya jest suto przyozdobiona kwiatami.



N. 4. Uczesanie z lokami z przodu dla niemłodych dam.

N. 38. Ubranie balowe z bluzkowym stanikiem i paskiem.

Odrobione z żółtego tarlatanu i takiegoż atłasu. Dół sukni zdobi kilka rzędów drobniutkiego plisowania, przybranie przodu i upięcie na brycie tylnym wskazuje rycina 38, z boków sukni dane ranwersy atłasowe, z jednego brzegu podszyte plisowaniem, u góry 8 u dołu 13 cent. szerokie. Stanik bluzkowy ozdobiony bertą, przyciśnięty złotym paskiem.



N. 6. Stanik z długą baskiną i kołnierzem.

N. 45. Ubranie domowe dla panienki lat 12—15.

Suknia wełniana z bluzkowym stanikiem z szerokim karczkiem, ogarnirowanym koronką; tunika podpięta kokardami z wstążki; pasek skórzany.

Opis do N-ru 12.

N. 1—2 i ryc. 22—23 w N-rze 13. **Strojne** wieczorowe albo weselne toalety.

N. 1. Suknia z długim zwierzchnim trenem. Przód na ryc. 23 w N. 13.

Spódnica do ziemi w koło w szerokie kontrafałdy układana, była zrobiona z białej materyi faille, a stanik wycięty z długim



N. 9. Suknia princesse dla panienki lat 11—13. Przód.



N. 8. Wałek pod głowę ozdobiony haftem krzyżykowym.



N. 15. Deseń do haftu kolorowemi kordonkami na wałki pod głowę, szlaki do mebli i t, p,

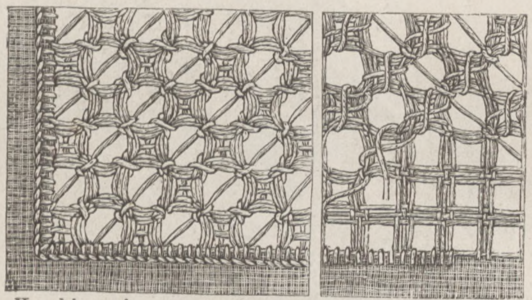


N. 10. Suknia princesse dla panienki lat 11—13. Plecy do ryc. 9.

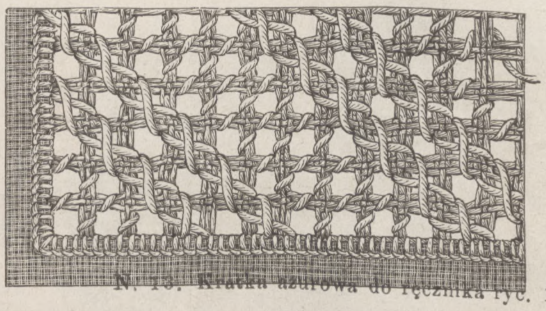
Do przystrojenia sukni służyły długo uwite białe kwiaty z ciemnemi liśćmi i kokardy z wązkiej repsowej wstążki.

N. 2. Suknia ze stanikiem z bawetem „a panier.“ Plecy na ryc. 22 w N. 13.

Aksamitny model sukni miał stanik z przodu z długim śpiczastym bawetem, z tyłu z długą gładką baskiną, głęboko w karo wycięty i ogarnirowany wachlarzowo koronką. Rękawy półkrótkie ogarnirowane szeroką koronką. Przedni i boczne bryty spódnicy były najprzód w całej długości przykrojone z materyi i ogarnirowane u dołu wązką, w kontrafałdy



N. 11—12. Kratki wyciągane w płótnie do r. 14. w N. 12.
N. 11. Lewa strona którą obraca się do wierzchu. N. 12. Prawa strona roboty.



N. 13. Kratka ażurowa do ręcznika ryc. 14 w N. 12.

zwierzchnim trenem, z ciężkiej blado różowej materyi, krajany był podług formy princesse. Na ryc. 23 w N. 13, podamy model przodu, któren z jednej strony zakończony jest długą baskiną, z drugiej znacznie przedłużony, skośnie ścięty i ogarnirowany plisowaniem z materyi i szeroką koronką. Tren ogarnirowany u dołu wązkiem plisowaniem.



N. 14. Kokarda do kołnierzyka ze wstążki i koronki.



N. 15. Szmizetka kamizelkowa, deseń do haftu na rycinie 7.

ułożoną falbanką, nad którą naszyty wolant z bardzo szerokiej białej koronki. Na wolant zachodzą krótkie aksamitne bryty, wycięte w proste zęby. Tylne aksamitne bryty, ogarnirowane są węższą koronką, ułożoną w kontrafałdy. Draperyę której upięcie z tyłu wskażemy na ryc. 22 w N. 13, układa się z długiego, prostego bryta materyi, gazy, koronki albo tiulu, przerabianego złotem albo ozdobionego haftem,



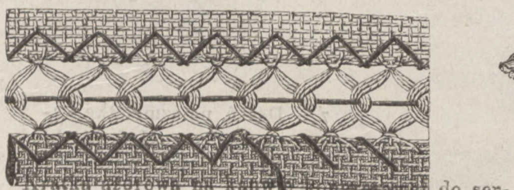
N. 16. Serwetka ozdobna na poręcz do sofy. Haft krzyżykowy i kratka ażurowa, Zobaczyć ryc, 18,



N. 22. Plecy do ryc. 2 w N. 12.



N. 23. Przód do ryc. 1 w N. 12.



N. 18. Kratka ażurowa na kanwie kongresowej do serwetki ryc. 17.



N. 20. Princesse z wykrojem w karo.

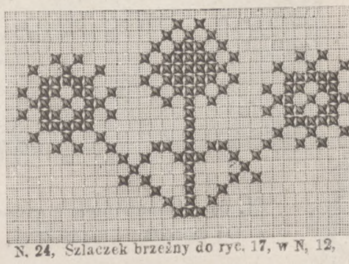


N. 19. Długa serwetka do mebli. Haft krzyżykowy i kratka; zobaczyć próbki ryc. 3—4 w N. 12.

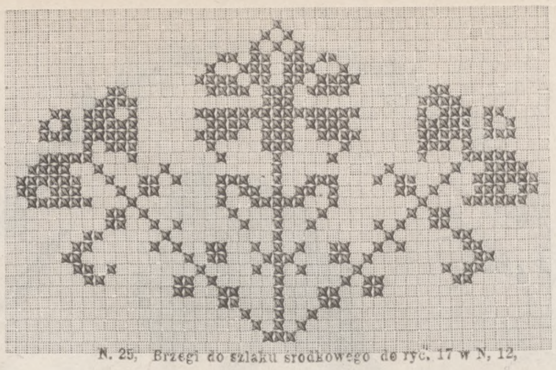


N. 21. Ubranie ze stanikiem z baskiną i spódnicą ubraną draperyą.

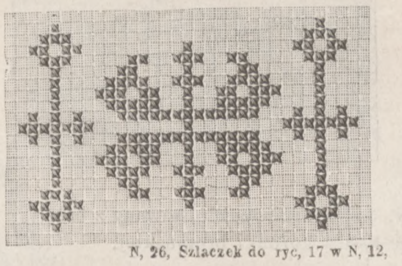
i oszytego piękną frendzlą lub koronką. Z przodu drapery a podchodzi pod bawet ozdobiony długiemi pukla-mi i końcami z wązkiej wstążki, z boków tworzy bufy „panier“ zwane, końce z tyłu wązko ułożone, są w górze z boków przypięte kokardami, a u dołu luźno przerzucone i na tren spuszczone.



N. 24. Szlaczek brzeżny do ryc. 17, w N. 12.



N. 25. Brzegi do szlaku środkowego do ryc. 17 w N. 12.



N. 26. Szlaczek do ryc. 17 w N. 12.

N. 7. Poszewka haftowana, trzymająca 74 cent. w kwadrat, ozdobiona była dwoma rzędami płasko haftowanych muszek, skośnie mijających się w odstępie 4 cent. połączonych ząbkami robionemi ściegiem sznureczkowym.

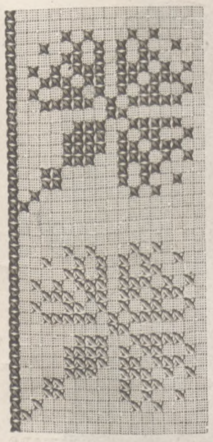
N. 8. Poszewka ze wstawką gipiurowaną, odpowiednia do kapy ryc. 20.

Na ryc. 25 podajemy szlaczek do haftu krzyżowego, służący zarazem do wycerowania na wstawce z siatki gipiurowej, do ozdobienia poszewki; inny piękny deseń wstawki podaliśmy w N. 10 na ryc. 10.

N. 9. Poszewka ozdobiona haftem angielskim. Szlak 7 cent. szeroki odrabia się wprost na zwierzchniej, o tyle powiększonej stronie poszewki. Nad haftem od spodu poddany jest obrąb 4 cent. szeroki, w górze stębnowany, u dołu przyrobiony kratką w płótnie wyciąganą, do którego przyszywa się spodnią część poszewki.

N. 5—13. Bielizna na pościel.

Na ryc. 5 — 13 podajemy różne sposoby przyozdobienia bielizny różnemi wstawkami lub haftem, które zawsze dobiera się jednakowo do poduszek i prześcieradeł pod kołdry. Na ryc. 9 podajemy znany już wielu naszym czytelniczkom sposób zapinania poszewek, któren zawsze urządza się od spodu, za pomocą oddzielnego paska z tego co nasypki materyału, zeszytego podwójnie, do którego przyszywa się guziki w odstępach 12 centymetrów, a w obrębach poszewki obrabia się odpowiednie dziurki.

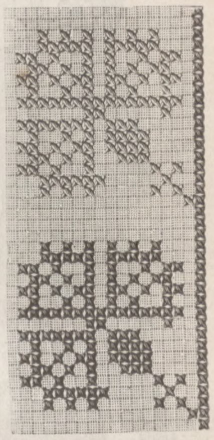


N. 27. Szlaczek brzeżny do szlaku złożonego z kwadratów rycina 33, do kołdry ryc. 17 w N. 12.

N. 5—6. Poszewka ozdobiona koronką irlandzką i haftem. Deseń koronki podamy na arkuszu z krojami do N-ru 14—15.



N. 29. Szlak poprzeczny do ryc. 17, w N. 12.



N. 28. Inny szlak do ryc. 33.

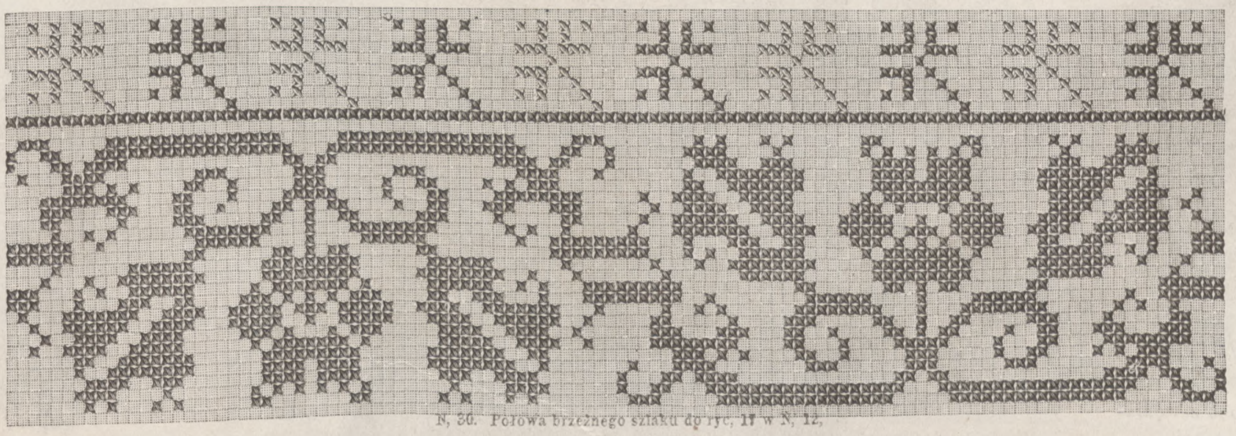
N. 10. Poszewka z narożnikami ze wstawek koronkowych i haftowanych.

Model poduszki miał 83 cent. długości a 74 szerokości, wstawką z koronki irlandzkiej albo siatki gipiurowej, 9 cent. szeroką robi się w ten sposób żeby nie była zaszywana w rogach, wszywa się 10 cent. od brzegów, a szwy przykrywa się wązkiemi stębnowanemi listewkami. Deseń skośnych pasków haftu, dawanych w równych odstępach z brzegów na powłoczce, podajemy na ryc. 6.

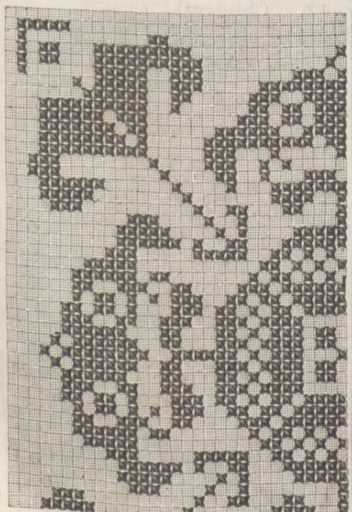
Narożniki poszewki robione były ze wstawek koronkowych $2\frac{3}{4}$ i haftowanych 2 cent. szerokich, a brzegi zwierzchniej połowy poszewki zakończone listewką stębnowaną 1 — $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką podszyć równej szerokości tasiemką, pomiędzy którą wpuszcza się z jednej strony brzegi narożników, z drugiej brzeg haftowanej, 7 centym. szerokiej falbanki.

N. 11 — 12. Poszewka i prześcieradło haftowane pod kołdrę.

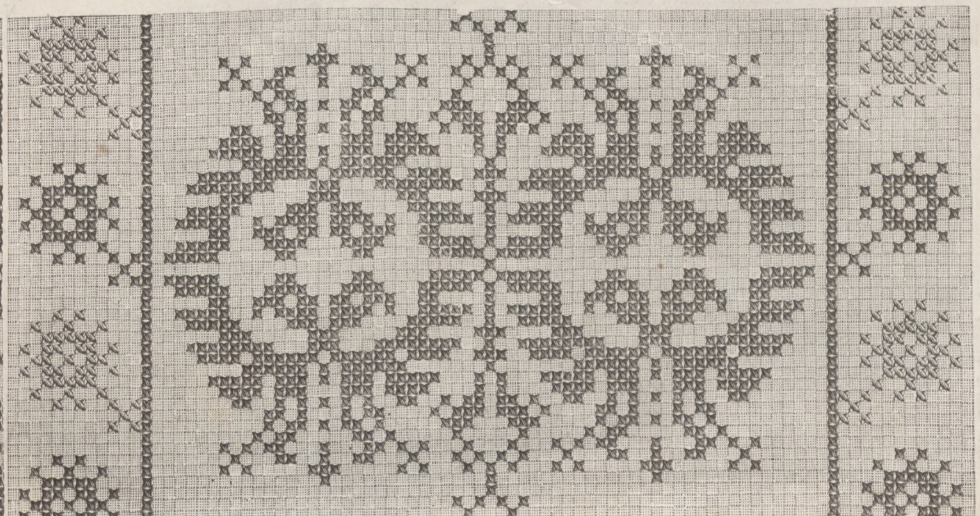
Dla braku miejsca zmuszeni jesteśmy tylko w zmniejszeniu przedstawić piękny deseń do haftu atłaskowego na prześcieradło i po-



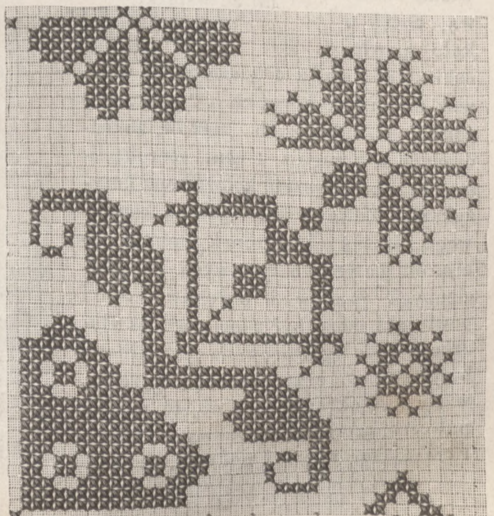
N. 30. Połowa brzeżnego szlaku do ryc. 17 w N. 12.



N. 32. Część kwadratów do szlaku ryc. 17 w N. 12.

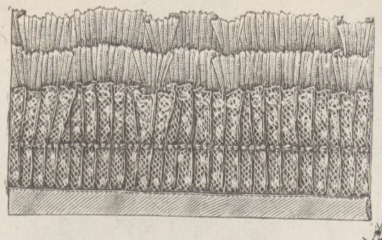


N. 31. Część innego szlaku do ryc. 17 w N. 12.

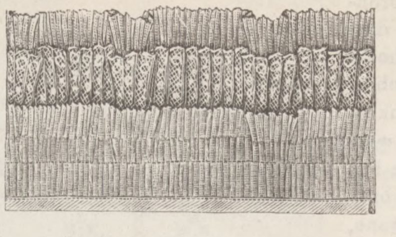


N. 33. Część innego kwadratu do ryc. 7 w N. 12.

włóczkę, której część zwierzchnią haftuje się razem z wystającym w koło $6\frac{1}{2}$ cent. szerokim szlakiem, poddaje się od spodu obrąb 4 centym. szeroki przyrobiony kratkami, od którego przyszywa się spodnią część powłoczki. Przy prześcieradle do kołdry haftowane wyłożenie ma 60 cent. szerokości, brzeg jego poprzeczny zakończony jest 7 centym. szerokim obrębem z kratką ażurową; przy brzegach podłużnych na długość wyłożenia, dane są w pojedynczem płótnie, 7 cent. od brzegów kratki ażurowe. Znak na powłoczce ma 10 cent. wysokości a na prześcieradle 15.



N. 34. Garnirunek plisowany z crêpe-lisse i koronki bretońskiej.



N. 35. Garnirunek z crêpe-lisse i koronki bretońskiej.

Falbankę układa się w kontrafałdy 3 cent. szerokie, zajmujące wklęsłości zębów, odstępy między fałdami wynoszą 5 i pół centymetra.

N. 14 — 15.

Ręcznik ozdobiony haftem krzyżykowym i kratkami wyciąganemi w płótnie.

Na ręcznik bierze się płótno dość grube, równe i rzadkie, na któren nie potrzeba podkładać kanwy, tylko robić krzyżyki na trzech nitkach w kwadrat, bawełną dobrą do prania w dwóch cieniach albo dwóch kolorach.



N. 36. Paltocik wiosenny.



N. 37—38. Sukienka princesse ubrana szarfą, dla małej dziewczynki.

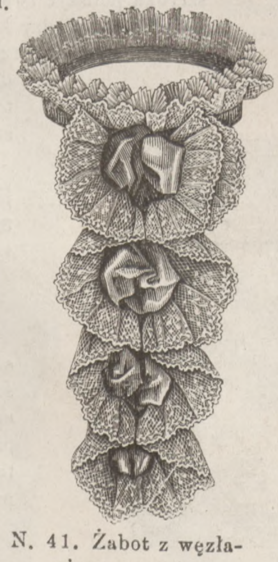


N. 39. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki.

N. 40. Ubranie dla chłopczyka.

N. 13. Poszewka na pierzynkę ozdobiona haftem krzyżowym i koronką.

Środkowa powierzchnia powłoczki jest z płótna kanwowego na którem rzucik wyszywa się krzyżykami, bawełną kolorową. Szlak w koło powłoczki składa się z $4\frac{1}{2}$ szerokich wstawek z nicianej koronki i 2 cent. szerokich stębnowanych pasków, zakończonych z brzegów 4 cent. szeroką listewką także wyszytą kolorowemi krzyżykami. Żółtawy kolor płótna kanwowego i nicianych koronek, dobrze odbija od białych batystowych lub płóciennych pasków i obrębów. Spód powłoczki może być płócienny; powłoczka w koło ogarnirowana jest falbaną batystową 7 cent. szeroką, wyciętą w płaskie, okrągłe zęby objęte skośną pół cent. szeroką, stębnowaną pliską i oszytą koronką 2 i pół cent. szeroką



N. 41. Żabot z węzłami ze wstążki.



N. 42. Chusteczka z końcami przepiętemi wstążką.

Rycina 15 podaje deseń którego część górną trzeba powtórzyć od dołu. Próbki pięknych w płótnie wyciąganych kratek dam w Nrze 1[illegible] szeroka fren[illegible] dzla jest płótnie siep[illegible] na i wiązan[illegible]

(*d. n*).



N. 43 — 44. Strojne ubrania ze stanikami z frakową baskiną.



Pl. 387.

TYGODNIK MÓD.

W WARSZAWIE.